ŁOWIEC POLSKI



W kaczym sezonie. Fot. J. Chomętowski

ORGAN
POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

Nr. 15 (935) 1 SIERPNIA 1939 R.

CENA ZŁ. 1.–



Lwowska grupa Bractwa Strzelców Kurkowych podczas uroczystości jubileuszowych. (Do art. na str. 471). Fot. St. Sołtys

KILKA SŁÓW O ŁOWIECTWIE I O TREŚCI „ŁOWCA POLSKIEGO"

To co ogólnie łowiectwem nazywamy obejmuje szereg najróżnorodniejszych umiejętności. Niewątpliwie, podobnie jak rolnictwo, leśnictwo, rybactwo oraz inne działy gospodarstwa wiejskiego, opiera się łowiectwo przedewszystkiem na naukach przyrodniczych i może być śmiało nazywane jedną z gałęzi zoologji. Jest tą gałęzią już przedewszystkiem dlatego, że objektem jego zainteresowań są zwierzęta.

Zapewne, że przeciętnego myśliwego nie interesują zwierzęta z punktu widzenia naukowego, niemniej dla swych celów praktycznych musi on zapoznać się ze zdobyczami nauki w niektórych przynajmniej działach zoologji, przedewszystkiem zaś w dziedzinie systematyki, ekologji i geografji zwierząt.

W dużym komplecie umiejętności łowieckich nauki przyrodnicze zajmują jednak tylko pewne, dość ściśle dające się określić miejsce. Stanowią one niejako punkt wyjścia, dają łowiectwu naukowe podstawy. Zakres zainteresowań myśliwego - hodowcy i myśliwego - sportsmana wykracza daleko poza nauki przyrodnicze.

Przedewszystkiem więc myśliwy musi być hodowcą zwierzyny. Hodowla zaś obejmuje tak różnorodne działy, jak karmienie, ochrona zwierzyny, choroby zwierzyny, selekcja, regulowanie stosunku płci w zwierzostanie, walka z kłusownictwem i t. d. i t. d.

Myśliwy musi być administratorem swych rewirów. Winien on prowadzić gospodarkę łowiecką w ten sposób, by wytrzymywała taką czy inną kalkulację.

Tak dawniejsze jak i współczesne łowiectwo nie może się obyć bez psów myśliwskich — w zakres łowiectwa wchodzi więc ogromny dział kynologji. Wspomnieć też trzeba, na co u nas, niestety, zbyt mało zwraca się uwagi, że prócz psa mamy w łowiectwie i inne zwierzęta, pomagające nam w łowach, z których przedewszystkiem wymienić należy konia. Istnieją ptaki myśliwskie, a sokolnictwo, które swego czasu upadło, dziś na zachodzie znów odradzać się zaczyna.

Myśliwego interesuje broń i puszkarstwo, dalej organizacja polowań, strój łowiecki, obyczaj i język łowiecki i t. d. i t. d.

Rozpisywać się tutaj na temat różnorodności zainteresowań myśliwego niepodobna. Chodzi tylko o podkreślenie tego, że pismo łowieckie, dając żywe odzwierciadlenie współczesnych prądów w łowiectwie, musi przynosić czytelnikom cały szereg wiadomości z wszelkich możliwych dziedzin łowiectwa.

Ci myśliwi, którzy uważnie studjują „Łowca Pol-

skiego", muszą przyznać, że Redakcja stara się dawać czytelnikom możliwie różnorodny materjał. Ale słusznie mówi stare przysłowie, że nie urodził się jeszcze taki, któryby wszystkim dogodził. Stąd zarzuty. Jednym za dużo artykułów o psach, inni radziby tych artykułów widzieć jaknajwięcej. Dla jednych puszkarstwo jest przedmiotem specjalnych zainteresowań, podczas gdy innych nic nie obchodzi. Jeszcze inni żądają przedewszystkiem artykułów z zakresu hodowli, to znów ekonomicznych, przyrodniczo - łowieckich, wspomnień myśliwskich i t. p. Doprawdy Redakcja trudną ma rolę.



Z akwatinty L. Laszenkówny

Powiedzmy jednak otwarcie — na zarzuty stawiane dorywczo przez poszczególnych myśliwych trudno jest zważać. Zarzuty te stawiane są często bez specjalnego zastanowienia się, niekiedy poprostu pod wrażeniem przeczytania ostatniego numeru pisma.

Być może jednak, że „Łowiec Polski" z tych czy innych wzlgędów nie dogadza większości myśliwych? W takim razie sprawa wymaga głębszego zastanowienia się i dokładniejszego opracowania. Z tego założenia wychodząc, proponuję, by Redakcja ogłosiła ankietę na temat „Jaka winna być treść Łowca Polskiego?"

Chcąc ułatwić myśliwym formułowanie odpowiedzi, przytaczam poniżej opis tych działów, które mojem zdaniem winny być uwzględniane w „Łowcu Polskim", A więc:

1. Artykuły przyrodnicze,
2. Hodowla zwierzyny,
3. Kynologja,
4. Zwierzęta pomocnicze w łowiectwie,
5. Organizacja kółek myśliwskich,
6. Administracja łowisk,
7. Artykuły ekonomiczne,
8. Różne typy polowań, ich organizacja i prowadzenie,
9. Wspomnienia myśliwskie,
10. Beletrystyka,
11. Broń i puszkarstwo,
12. Sport strzelecki,
13. Kronika myśliwska, sprawozdania z polowań,
14. Ze stowarzyszeń,
15. Drobne wiadomości,
17. Prawo łowieckie,
18. Ilustracje.

Otóż dobrze byłoby, gdyby myśliwi odpowiedzieli w jakim stosunku mają być w „Łowcu Polskim" te działy uwzględnione. Zwracam jednak uwagę, że w pojedyńczym numerze pisma, ze względu na ograniczoną jego objętość wszystkiego dawać nie można. Redakcja musi uważać za zamkniętą całość nie pojedyńczy numer, a cały rocznik. Tylko w rocznym okresie czasu można materjał odpowiednio rozłożyć, dając w poszczególnych sezonach rzeczy najbardziej aktualne. To odpowiadający na ankietę winni uwzględnić.

Przypominam, że rocznik „Łowca Polskiego" obejmuje w przybliżeniu 800 stron druku. Chodziłoby więc o odpowiedź na pytanie wiele stron w roczniku winno się poświęcić na każdy z tych działów? Naturalnie wszelkie uwagi dotyczące treści „Łowca Polskiego" byłyby dla Redakcji cenną wskazówką. Im więcej zaś odpowiedzi nadejdzie, tem dokładniejszą odpowiedź otrzyma Redakcja na pytanie: — czego oczekują myśliwi od „Łowca Polskiego" w jego dalszym rozwoju?

JANUSZ DOMANIEWSKI

*

„Łowiec Polski" od chwili objęcia przeze mnie obowiązków redaktora t. j. od 1928 r. *) posiada ustalony układ, bodaj czy nie zatwierdzony przez Wydział Wykonawczy Związku, czy Komitet Redakcyjny. Oczywiście poprzednio, prowadzony przez światowej sławy przyrodnika i jednego z czołowych myśliwych Polski śp. Jana Sztolcmana, też nie był prowadzony chaotycznie i stał na wysokości zadania, w granicach ówczesnych możliwości finansowych i poczytności pisma. Układ ten, aczkolwiek odmienny od proponowanego przez Szanownego Autora, niemniej wyczerpuje zakres dziedzin, z których składa się współczesne łowiectwo i dotychczas nie zachodziła potrzeba jego zmiany.

Układ ten, stanowiący szkielet czy standard „Łowca Pol." przedstawia się następująco: artykuły treści ogólnej (wstępne), z dziedziny prawa, beletrystyczne, hodowlane, kynologiczne i balistyczne (broń i amunicja), wolna trybuna, wspomnienia pośmiertne, z Polskiego Związku Łowieckiego, (obejmujące również zarządzenia ustawodawcze i władz, które Związek podaje do wiadomości swym członkom), sprawozdania z działalności władz Związku, różne zarządzenia tych władz, sprawozdania z działalności stowarzyszeń związkowych, wiadomości bieżące, bibljografja, odpowiedzi redakcji i t. d.

Oczywiście, jak to słusznie podnosi Szanowny Au-

*) Początkowo ze ś. p. Juljanem Ejsmondem.

tor, redakcja nie ma możliwości zamieszczania w każdym numerze artykułów ze wszystkich tych działów, a to zarówno ze względu na brak miejsca, jak i częstokroć odpowiednich artykułów w tece redakcyjnej. Pozatem artykuły odnoszące się z treści swojej do jednego z pierwszych sześciu głównych działów, jeżeli są zbyt krótkie i fragmentarycznie traktują poruszony temat, nie mogą być umieszczone w pierwszej części numeru (drukowane garmondem) i są umieszczone w odpowiednich rubrykach (Wolna trybuna, korespondencje Ł. P. i t. d.), pod odpowiedniemi tytułami.

Redakcja nie ogranicza się do zamieszczania tylko artykułów odpowiadających jej poglądom, wręcz przeciwnie, uważając „Łowiec Polski" za trybunę wszystkich myśliwych i pisarzy łowieckich Polski, zamieszcza każdy artykuł, aby tylko logicznie i jasno, ze znajomością poruszonego tematu napisany, nie przywiązując przytem nadmiernej wagi do usterek stylistycznych, które sama w miarę możności usuwa. Jeżeli poglądy autora zawierają w rozumieniu redakcji błędy, lub nie odpowiadają dążeniom Związku i redakcji, to ta ostatnia zamieszcza dany artykuł ze swemi uwagami i dopiskami, czasem równie obszernemi, jak sam artykuł. Dopiski takie redakcja umieszcza również, gdy jest w zgodzie z autorem, uważa jednak za potrzebne uzupełnić jego poglądy czy argumenty, lub sprawę oświetlić dodatkowo z innej strony. Z tem wszystkiem doprowadzenie „Łowca P." do tego, aby równomiernie, a w każdym razie w sposób wyczerpujący, poświęcał odpowiednie części swych łamów, nie w obrębie oczywiście poszczególnego numeru, a całego rocznika, wszystkim dziedzinom związanym z łowiectwem, nie jest dla redakcji zadaniem łatwem. Są działy, które należycie obsłużyć jest bardzo trudno. Po śmierci ś. p. Feliksa Rożyńskiego niema dotychczas w całej Polsce autora, któryby z takiem znawstwem i samodzielnością umiał pisać artykuły z dziedziny urządzenia rewirów i hodowli zwierzyny.

Nadsyłane do „Łowca P." prace w tym zakresie, są częstokroć pracami kompilatorskiemi, nieraz zupełnie poprawnemi, nie opartemi jednak na osobistem, że tak powiem, na własnej skórze sprawdzeniu przez autora podawanych wiadomości i wskazówek. Niemniej z tym działem nie jest jeszcze tak źle i redakcja w tej dziedzinie otrzymuje częstokroć zupełnie wartościowe prace i wskazówki. Gorzej już jest z artykułami w dziedzinie broni i amunicji, które zawsze są związane z rozwojem przemysłu w tym zakresie danego kraju. Jedynie wybitnie fachowe pióra pp. J. Podoskiego i gen. W. Maryańskiego ratują sytuację.

Najgorzej jest jednak z działem kynologji: artykułów z tego działu, nie mówię oczywiście o sprawozdaniach z prób polowych i wystaw, redakcja otrzymuje bardzo mało. Jest to skutkiem ogólnie niskiego poziomu hodowli psa myśliwskiego w Polsce i w związku z tem braku odpowiednich znawców i pisarzy. Ci co są, a jest ich bardzo mało, tak są zajęci pracą w poszczególnych klubach, że na pisanie brak im czasu. Miejmy nadzieję, że z powstaniem Kennel-Klubu w Polsce sprawa ta wejdzie na lepsze tory. Tymczasem Czytelnicy „Łowca P." muszą się zadowolić w tej dziedzinie rzadko ukazującemi się artykułami samego redaktora, który jednak nie na wszystkie tematy z dziedziny kynologji może pisywać i co wogóle nie może być uznane za wystarczające. Redakcja z braków i niedociągnięć pisma zdaje sobie doskonale sprawę, jednak podnoszenie poziomu pisma może odbywać się tylko stopniowo, w miarę rozwoju stosunków łowieckich i przybywania fachowców w różnych dziedzinach.

Istnieje jeden zarzut, obijający się od czasu do czasu o uszy redakcji i znajdujący wyraz w otrzymywanych przez nią listach od jej sympatyków.

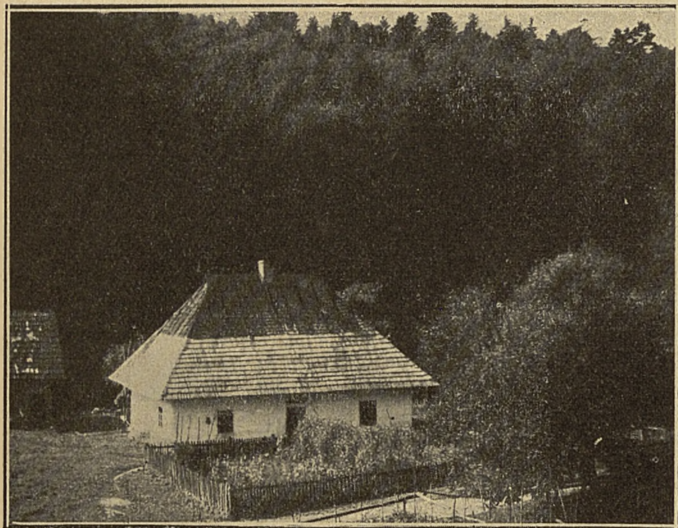


Droga leśna. Fot. Adm. M. Borowski

Jest to zarzut, że „Łowiec Polski" poświęca zbyt wiele miejsca wielkim łowom i obsługuje w istocie tylko najwyższą klasę myśliwych. Zarzut ten w rozumieniu redakcji jest niesłuszny i polega na nieporozumieniu, względnie niezrozumieniu dróg, któremi redakcja i Związek chcą służyć interesom szerokich kół myśliwych.

Pismo łowieckie jest pismem fachowem, obliczonem na pewien poziom przygotowania łowieckiego i nie może wykładać rzeczy zbyt powszechnie znanych, stanowiących alfabet wiadomości łowieckich, z tego tylko względu, że szerokie koła myśliwskie, nie zdradzające jak dotychczas chęci do czytania jakichkolwiek pism łowieckich, wiadomości te posiadają w niedostatecznej mierze i mogłyby coś niecoś z podobnych artykułów skorzystać. Pismo łowieckie, aczkolwiek podające stale szereg pożytecznych wiadomości z różnych dziedzin łowieckich, nie może być podręcznikiem łowiectwa podającym do wiadomości rzeczy ogólnie znane lub zbyt obszerne i specjalne, stanowiące przedmiot wydawnictw książkowych i specjalnych monografij. W obu tych krańcowych wypadkach nużyłoby to czytelnika i wywoływałoby z jego strony słuszne protesty.

Pismo łowieckie musi trzymać rękę na pulsie życia łowieckiego, dawać jego aktualny obraz, poruszać zagadnienia chwili bieżącej i podawać do wiadomości ogółu o wszelkich zmianach i zdobyczach w poszczególnych dziedzinach związanych z łowiectwem, i to jest przedewszystkiem jego zadaniem. Oczywiście musi także podawać do wiadomości wszelkie aktualności z dziedziny hodowli i polowań na drobną zwierzynę, muszą to być jednak rzeczy nowe, a nie powszechnie znane.



Z koźlej ojczyzny. Gajówka w maj. Krzywcu PP. Bocheńskich.
Fot. St. Rozwadowski

Należy także mieć na uwadze, że jeśli idzie o hodowlę drobnej zwierzyny, to najgłówniejszym jej czynnikiem jest spokój i należyta ochrona, sprawa bowiem wyżywienia drobnej zwierzyny, szczególnie zajęcy i kuropatw, stoi w większości rewirów na drugim planie, gdyż zwierzyna ta przez cały rok ma naogół dosyć pożywienia, karmiąc się przez zimę niemal wyłącznie piórkami ozimin.

Spokój zaś i ochrona zwierzyny zależne są, poza wysiłkami samych hodowców, w pierwszym rzędzie od panujących stosunków łowieckich i należytej organizacji samych myśliwych. Tym zaś sprawom, mając na względzie obecne stosunki, zarówno Polski Związek Łowiecki jak i „Łowiec Polski" z konieczności zmuszone są aż nadto poświęcać uwagi i miejsca.

Jeśli zaś chodzi o konkretne wskazówki, potrzebne szerokim kołom myśliwych, to te redakcja „Łowca P." podaje w Kalendarzu myśliwskim, pilnie bacząc, aby każdy myśliwy znalazł w nich co tylko mu może być potrzebne.

A więc: tekst ustawy łowieckiej, przeróżne wzory i regulaminy, znakomite wskazówki hodowlane ś. p. Feliksa Rożyńskiego, artykuły poświęcone organizacji i gospodarce kółek łowieckich, używaniu w polu psów myśliwskich, w szczególności wyżłów, wskazówki jak polować na zające, kuropatwy, kaczki, artykuły co do sposobów prowadzenia różnych rodzajów polowań, o tem, jakie powinny być strój i obuwie myśliwego, opisy poszczególnych gatunków zwierzyny i ptactwa, różne fachowe artykuły i wskazówki z zakresu broni myśliwskiej i strzałów kulowego i śrutowego i t. p.

Słowem możliwie wszystko i to za bardzo przystępna, propagandową cenę.

Wreszcie, aby dać myśliwym poważniejsze i wyczerpujące prace z poszczególnych dziedzin łowiectwa, redakcja „Łowca P." zapoczątkowała i uzyskała aprobatę władz Związku na utworzenie funduszu wydawniczego, aby w ten sposób wypełnić najbardziej dotkliwe luki w naszem piśmiennictwie łowieckiem.

Słowem na zarzut braku inicjatywy i planu działalności redakcja „Łowca P." nie wydaje się zasługiwać, a jeśli tu i owdzie dadzą się spostrzedz usterki, to wypływają one nie z zaniedbań i braku dobrych chęci ze strony redakcji, a z obecnego układu życia łowieckiego i różnych wynikających stąd trudności.

Nie zapominajmy, że podobnie jak i wiele narodów Europy, co dobitnie ujawnił ostatni kongres prasy i literatury łowieckiej w Liège, znajdujemy się dopiero w pełni walki o lepsze jutro łowiectwa.

Wreszcie na zakończenie niniejszego dopisku muszę podkreślić, że wszelkie życzliwe wskazówki i uwagi redakcja „Ł. P." przyjmuje zawsze z wdzięcznością i stara się w miarę możliwości do nich stosować.

WALENTY GARCZYŃSKI

Na kartoflisku

Pełzną czarne postrzępione chmury,
przysłaniając twarz księżyca bladą.
Wyjrzał z lasu czujny gwizd samury,
co warchlaków prowadziła stado.

Za sosnową drągowiną niską
pól uprawnych ciągną się zagony,
a na samym skraju — kartoflisko,
lichym płotem z żerdzi ogrodzone.

Senne chmury cień głęboki kładą
na zieleni ziemniaczanej naci,
w mrocznym płaszczu kryjąc dzików stado,
przemieniając w zjawy ich postacie.

Podejrzliwie gwizd unosi locha,
każdy szmer wrażliwe łowi ucho:
musi czuwać — przecie młodzież płocha
często przestróg matki swej nie słucha!

Kartofelek smakowicie chrupie,
miłym chłodem pieszcząc podniebienie...
Nie wyczuła locha, że przy słupie
czeka wróg — ukryty w krzaków cieniu.

Obserwuje ucztujące stado,
jak drapieżca, czając się w bezruchu.
Zagrzmiał strzał — i warchlak w ogniu pada!
Groźnie sapie, w ślepym gniewie dmucha

zaskoczona tą napaścią locha.
Razem z nią warchlaków mknie gromada,
uciekając w trwodze i popłochu!
W chmurach znika twarz księżyca blada.

W. L. v. FALKENAU

ŻETONY CZY KSIĄŻKI?

Ku uwadze organizatorów zawodów strzelecko-myśliwskich.

Obecnie, gdy idea sportu strzelecko-myśliwskiego, standowego, z rokiem każdym mobilizuje coraz liczniejsze szeregi zwolenników, gdy większość Powiatowych Rad Łowieckich poczuwa się do tego obywatelskiego obowiązku, by ideę tę kultywować pomiędzy członkami Polskiego Związku Łowieckiego — odczuwać się daje coraz bardziej i coraz częściej brak środków materjalnych na odpowiednie obesłanie zawodów nagrodami.

Wprawdzie organizatorzy zawodów wspierani są w tym kierunku bardzo wydatnie przez liczne zamiejscowe i miejscowe firmy i instytucje, a także przez wielu prywatnych ofiarodawców, jednakże nierzadko się zdarza, że bywają oni w kłopocie. Dzieje się to wówczas, gdy uczestników zawodów jest spora liczba, a jednak niepodobna w ramach rozporządzalnego budżetu, na zawody przewidzianego, ogłosić więcej niż 2 — 3 nagrody w przedmiotach dla każdej konkurencji.

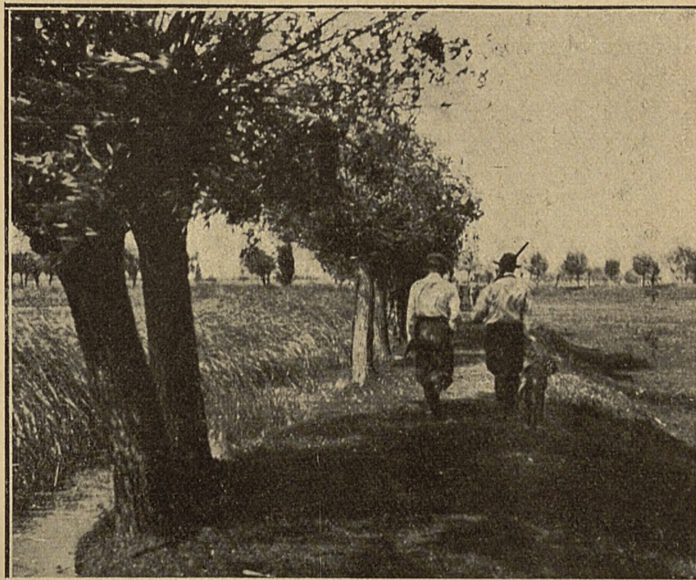
W takich razach organizatorzy zawodów uciekają się — i nieraz w szerokich granicach — do utartego zwyczaju przeznaczania dla zawodników na dalszych miejscach (powiedzmy od 4 — 6 lub jeszcze dalszych) żetonów pamiątkowych. Zdarza się też, że niektórzy zawodnicy, bardziej ruchliwi pod względem uprawiania strzelectwa myśliwskiego, w dziale np. rzutków, zapraszani i jeżdżący tu i tam, po całym kraju, w ciągu paru lat nolens volens dochodzą do pokaźnej często kolekcji zdobytych (najczęściej bardzo podobnych do siebie) żetonów.

Kolekcja żetonów to rzecz piękna, a nawet miła dla zawodnika, gdyż przypominająca mu jego sukcesy strzeleckie. Ale kolekcja żetonów nie jest ani trochę rzeczą pożyteczną. Chowana w biurku lub w pluszem wybitej specjalnej szkatułce, czy wreszcie umocowana na pięknie rzeźbionej tarczy, obitej suknem, zawieszonej na ścianie — staje się conajwyżej przeciętną pamiątką bez praktycznego znaczenia i ceny.



Z Polesia. Fot. A. Sznerr

(Niech mi wybaczy P. Kpt. J. Wł. Kobylański, ale nie mam wcale na myśli zwalczania kolekcjonerstwa żetonów i odznak, co innego jednak kolekcjonerstwo w s z e l k i c h tego rodzaju przedmiotów — jak to czyni właśnie Kolega Kobylański, opatrując swą kolekcję biografją pochodzenia każdej, a nawet historją indywidualną poszczególnej odznaki — co innego zaś upajanie się symbolem własnych zwycięstw sportowych przez dekorowanie swej piersi, czy choćby ściany lub gablotki, lepiej lub gorzej wykonanemi blaszkami).



Busko-Zdrój. Z polowania na kaczki. Fot. Inż. R. Troszok

Rozumieją to przeważnie wszyscy organizatorzy podobnych imprez i dlatego najczęściej do żetonów dodają właściwą treść: dyplomy, które, zawierając wypisane okoliczności danego zwycięstwa, są czemś cenniejszem od pamiątkowych kawałeczków metalu z wyobrażeniem jakiegoś zwierza lub czegoś podobnego.

Ale jeśli okoliczności odniesionego zwycięstwa wypisywane bywają na dyplomie, a nawet powtarzane w napisach umieszczonych na bardzo cennych przedmiotach, stanowiących nagrody honorowe, wynika stąd, że główną treścią tych nagród jest właśnie ów napis, owo zaświadczenie o sprawności sportowej nagrodzonego, bez czego każdy najcenniejszy nawet przedmiot posiadałby wartość realną tylko swojej ceny, za którą był zakupiony.

Dla zdobywcy nagrody jest jeszcze jedna rzecz ważna: czy przedmiot-nagroda nadaje się do użytku, lub czy przedstawia wartość artystyczną. I jedno i drugie może być cechą wszystkich przeznaczonych na nagrody przedmiotów, choć z tem drugiem już jest rzecz trudniejsza, wymaga bowiem większego nakładu pieniężnego ze strony ofiarodawcy. Najtrudniej zaś o cechy artystyczności może właśnie w żetonach, które są z reguły seryjne, sztancowe, o tematach oklepanych, obliczone na jaknajmniejszy koszt.

Z tem wszystkiem — gdyby nie dyplom — żeton zadowolić mógłby tylko snoba, lub manjaka-kolekcjonera (przepraszam Kolegę Kobylańskiego, niech tego znowu nie bierze do siebie, gdyż jego kolekcja nosi charakter zgoła inny, a muzealnie nader wartościowy)

wszystkiego, co przekracza cyfrę 1. Takie jest moje osobiste zdanie o tej kwestji, lecz sądzę, że podzielają je również dziesiątki i setki zdobywców nagród w postaci żetonów na zawodach, które przeważnie leżą nieprodukcyjnie w szufladach biurek.

Tymczasem... Tymczasem, nagradzając naszych zawodników sportowych żetonami, formą wykrętną co do realnej wartości przedmiotu, nie zadowalamy w większości wypadków nawet ich zmysłu estetycznego i upodobań artystycznych. I napewno nie zapytaliśmy się ich nigdy o to, ani sami może nie zastanawialiśmy się nad tem, czy zamiast oklepanego żetonu — który także przecież kupić trzeba — nie woleliby jakiejś pięknej, wartościowej książki z dziedziny literatury łowieckiej, lub jakiegoś fachowego dzieła.



Brzegi rzeki Leśnej. Fot. J. Hołyński

A przecież dobra książka — to przedmiot nie do pogardzenia: to lek na różne troski i kłopoty, to odpoczynek po pracy, to zadowolenie smaku artystycznego, a przytem książka łowiecka to odświeżenie własnych przeżyć w otoczeniu dzikiej natury, to niema melodja duszy, utkana ze wspomnień osobistych, przez artystę-pisarza obudzonych.

Dobrych książek łowieckich nie posiadamy wiele, ale jednak wśród ich pokłosia znajdują się i takie, które niosą w złotej oprawie słowa najcelniejsze ziarno ducha, ożywionego miłością do przyrody i do rycerskiego sportu — myślistwa.

Oto co więcej jest warte, niż żetony!

Przyznam się, że osobiście wolałbym taką nagrodę, jako odznaczenie mego wyczynu strzelecko-myśliwskiego, niż blachę czy blaszkę żetonu, choćby nawet jaskrawo emaljowanego...

Panowie organizatorzy wszelkich zawodów w zakresie strzelectwa myśliwskiego! W dobie powszechnego zapomnienia o pokarmie dla ducha, w dobie pogoni za błyskotkami, spełńcie pionierską misję rozpowszechniania w formie nagród na zawodach łowieckiej literatury pięknej. A nikt wam nie powie z pewnością, że wolałby żeton... Niejeden z wdzięcznością przyjmie tę inowację, inny zmilczy niezadowolenie, ale później sam się przekona, bo dobra książka niewątpliwie go ucieszy!

I nie przejmujmy się tem, że zdobywca nagrody-książki może ją już posiadać w swej bibljotece. Wówczas pozostawi sobie na pamiątkę dyplom — treść istotną swego wyczynu sportowego — a książkę odda komuś innemu z pośród rodziny czy przyjaciół. I książka ta zawsze spełni swą misję — pójdzie w świat uszlachetniać ludzkie serca, budzić miłość do przyrody.

Może mi ktoś zarzucić, że w Polsce ładnie wydane książki są drogie... Na to mu odpowiem: i tak i nie. Często najcelniejsze utwory znakomitych autorów znajdujemy, poszukawszy dobrze, za bezcen, bowiem... wydawca likwiduje za grosze swą kosztowną łatwowierność w rozwój czytelnictwa polskiego. Gorzkie to słowa, ale prawdziwe.

Niedalej szukając, jest do nabycia przeszło sto egzemplarzy wyczerpanego wydania obrazów myśliwskich „W sercu kniei" Stanisława Zaborowskiego. Mniej, niż za połowę ceny pierwotnej *). Zanim kiedyś wyjdzie nowe, może jeszcze piękniejsze w szacie zewnętrznej, wydanie tego świetnego dzieła opisowego niedawno zmarłego, jednego z najpierwszych autorów łowieckich, dziw, że jeszcze dotąd pozostały nierozkupione te resztki, są to bowiem istotnie prawdziwe perły literatury.

Wydanie to, o którem mówię, jest broszurowane. Wystarczy dopłacić parę lub kilka złotych, aby zyskać odpowiednią i do swego gustu dopasowaną oprawę.

Czyż ta książka gustownie oprawna nie przewyższy po stokroć istotnej wartości szablonowego żetonu, jako nagroda otrzymana na zawodach strzelecko-myśliwskich? I czyż to nie ułatwi organizatorom nagrodzenia większej liczby zawodników?



Kacze tereny w okolicy Rosi. Fot. E. Lembke

Poddaję tę myśl rozwadze zainteresowanych w tem, aby zawody strzelecko-myśliwskie pod każdym względem wypadły jaknajświetniej.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO

*) Patrz ogłoszenie w Nr. 13 i 15 „Łowca Polskiego", str. 423 i 454 (Przyp. red.).

AFRYKA

(Ciąg dalszy).

Na świecie noc jeszcze była i ciemno zupełnie, kiedy zbudził mnie głos Mahometa odpinającego skrzydło namiotu: — „*Sir, the time is up!*"

Za namiotem słychać było nawoływania i szczęk łańcucha u wozu; zaprzęgano woły. „Jestem w Afryce i dziś będę polować" — była pierwsza myśl, jaka przeleciała mi przez głowę, kiedy otworzyłem oczy.

Na szczęście toaleta podczas „safari" nie zabiera wiele czasu, a większość przyborów, bez których przeciętny Europejczyk ubrać się w domu nie umie, jest zbyteczna. Mydło, szczoteczka do zębów i — komu potrzebny — grzebień, wystarczają, bo golić się tam ani wiązać krawata niema zwyczaju. W pięć minut ubrany byłem i gotów do drogi. Zapinając na ręku zegarek, spojrzałem na godzinę — dochodziło pół do szóstej. Po chwili L. wyszedł także z namiotu i, patrząc jak zwijają obóz, zasiedliśmy do śniadania.

Namioty tragarzy były już poskładane, maniapara i sais kulbaczyli muły, a ludzie, okrywając plecy kołdrami, grzali się przy wielkiem ognisku. Porządek był wzorowy, przygotowania odbywały się sprawnie i bez hałasu; widocznie karawana wytresowana była dobrze. W pół godziny „safari", gotowa już do pochodu, czekała tylko na słońce. Ostatni z postojów wychodził kucharz, który zabierał i pakował zastawę ze stołu.

Przez chwilę, kiedy zagaszono latarnie, obóz i karawana utonęły w cieniu. Przy niepewnem świetle gwiazd widać było czarną gromadę tragarzy przy ognisku, saisa trzymającego muły i naszych dwóch shikarich ze sztucerami na ramionach.

Myśl uleciała daleko, na drugą półkulę, na mroźne, śniegiem teraz zasypane ostępy Polesia. W pamięci żywo stanęły mi nocne spotkania z osacznikami, którzy „zasadzali" głuszca zwieczora i, spędziwszy noc przy ognisku, czekali o świcie na myśliwego. Tu świat był inny; inne zaświecić miało miejsce, inne nas czekały wrażenia i głębsza czara upojeń. W mroku, na czarnej twarzy maniapary, kiedy mówił coś do mnie, połyskiwały białka oczów.

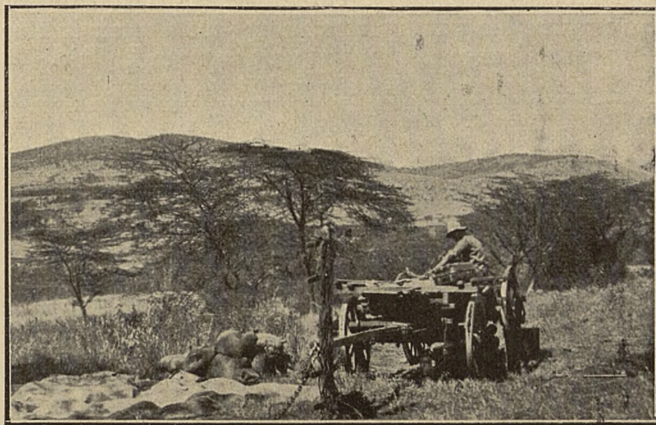
Kolejno ukazywały się oczom: twarze i czerwone zawoje tragarzy, maść wołów u wozu, połyskująca stal sztucerów, żółte haszcze dokoła, przed nami dalekie wzgórza i majaczący jeszcze w resztkach pomroki, siny Longonot.

Na znak maniapary w czarnej gromadzie zaroiło się, jak w mrowisku. Ludzie podjęli z ziemi bagaż i zarzucili go na głowy, u wozu zgrzytnął łańcuch i zaskrzypiały koła. Długim, pstrym wężem „safari" wypełzła w step, a za tragarzami, dziko popędzany przez poganiaczy, pociągnął gąsienicą zaprząg wołów. Karawanę puściliśmy przodem, aby odłączyć się od niej w drodze i w stepach popróbować szczęścia. Minął nas właśnie ostatni tragarz, kiedy ukazało się słońce i dzień zrobił się zupełny. Przestrzeń przed nami leżała teraz jasna i przezroczysta.

Za nami, na niebie, rozlana szeroko, płynęła orgja światła, w którem kąpał się wschód, czarne lasy na górach i cały budzący się poranny świat. Nad miejscem, na którem stał niedawno obóz, snuła się z niezagaszonego ogniska nitka dymu; stepem, mieniąc się w poziomem słońcu czerwono, ciągnęły antylopy.

Pociągnąwszy losy, kto pójść ma na lewo, a kto na prawo, ruszyliśmy każdy w swą stronę. Spotkać mieliśmy się znowu na postoju, w południe.

Uczucie, jakiego doznałem, kiedy pożegnałem się z L. i pozostałem z shikarim swym sam, było najsubtelniejszem może wrażeniem, jakiego doświadczyłem na polowaniu.



Wóz z naszej „safari"

Ta przestrzeń zalana światłem, te niebieskawe wzgórza na widnokręgu i te dzikie haszcze dokoła, to Czarny Ląd, to Afryka! — Jestem w Afryce, poluję i spotkać mogę w każdej chwili lwa, nosorożca i lamparta; zebry, gazelle i antylopy snują się wciąż dokoła. Nadzieje, któremi cieszyłem się tak długo, obrazy, które odgadywałem wyobraźnią, zamieniły się w rzeczywistość, która mnie otacza. Jestem u progu wrażeń, do których dążyłem, których pożądałem i dziś świadomość ta wydaje mi się niespodzianką prawie, której nie dowierzam jeszcze.

W obcem, nowem otoczeniu, mimo całego głębokiego zadowolenia, jakie mnie ogarnia, odszukać nie umiem nastroju myśliwego. Usposobiony jestem poważnie raczej i uroczyście, jak ktoś, co do muzeum wchodzi albo do świątyni.

Ubrany jestem, jak zwykle myśliwi w Afryce: spodnie z khaki, brunatna wełniana koszula z kieszeniami, grube sznurowane trzewiki i korkowy hełm na głowie. Przy sobie najniezbędniejsze tylko przedmioty: chustka, tytoń, krzesiwo, świstawka na rzemyku i zapasowe naboje, aby niezależnym być od strzelca w krytycznej chwili. Mam oprócz tego krótki, myśliwski nóż w pochwie i na piersiach lornetkę. Uzbrojony jestem w repetjer Mannlichera z lunetą. Paradox, na przypadek możliwego zawsze spotkania z grubszym zwierzem, niesie na ramieniu Mabruki. Zwyczajem miejscowym trzyma go za lufy, zwrócony osadą ku tyłowi, w stronę myśliwego, który pochwycić broń może w każdej chwili. Obok paradoxa i naboi, Mabruki miał przewieszoną na pasku manierkę z zimną herbatą i nieodstępny duży nóż, ostrzony codzień, którym dobijał i oprawiał zwierzynę. Aparatu fotograficznego ani śniadania nie zabierałem, bo szliśmy bez tragarza i obciążać się zbytnio nie chciałem.

Z ciekawością przypatruję się shikaremu, który od dziś towarzyszyć mi będzie nieodstępnie. „Garnitur" ma na sobie z khaki, mocno już brudny i podarty; za

ciasny na jego potężną figurę. Jest to zapewne pamiątka po europejczyku, z którym polował poprzednio. Bosy, pod stopą ma tylko podeszwę z grubej skóry, przymocowaną rzemykiem, przechodzącym między palcami. Nakrywa głowę czerwonym, również brudnym fezem, który chowa do kieszeni, ilekroć podchodzić próbujemy zwierza. Zwierzęco brzydki, małomówny, wzrok ma niezrównany i, jak przekonałem się później, tropi dobrze. Stąpa teraz przedemną równym, miarowym krokiem; w suchej, pożółkłej trawie migają jego niebieskawe pięty. Od czasu jak jest shikarim i prowadza białych sportsmanów, dużo setek kilometrów przemierzyć tak musiał na Czarnym Lądzie.



Z życia obozu

Mówimy na początek mało, bo on nie rozumie prawie po angielsku, a ja nie śmiem odzywać się po suahili, na którem zresztą nie zajechałbym daleko. Pierwsza znajomość zacieśni się później dopiero, pod wpływem przeżywanych wspólnie przygód. Tymczasem do rozmowy brak nam tematu.

Przez kraj idziemy otwarty, przestronny, pokrajany rozpadlinami i głębokiemi jarami o zboczach poszarpanych, pełnych wyrw, zasypanych na dnie żwirem i głazami, między któremi w porze deszczów strumieniami płynie woda. Na zboczach wąwozów, gdzie mniej gwałtownie pali słońce i gdzie utrzymać się mogły dłużej ślady wilgoci, czepiają się resztki żywej jeszcze roślinności: pękate, mięsiste kaktusy, powiędłe wachlarze palm i ostromlecze, sterczące z jarów, jak świeczniki.

Równina dokoła porośnięta jest naprzemian to wyschłą, szeleszczącą trawą, to gęstemi, kolczastemi krzewami, czepiającemi się odzienia, jak nasza malina, to wreszcie rzadkiemi kępami karłowatych akacyj bez liści, które przestrzeni nie zasłaniają prawie. Kraj wciąż pierwotny zupełnie, człowieka, jak sięgnąć wzrokiem, ani śladu. Gdzieniegdzie, stosami lub pojedyńczo, leżą rozrzucone na stepie brunatne złomy skał; nad haszczami samotne wznoszą się, do parasoli podobne, rozłożyste w koronie, mimozy. W powietrzu aromatyczny zapach pożaru. Nad krajobrazem przezroczyste, głębokie niebo, a w błękicie, coraz wyżej, wznosi się nieznanego u nas blasku słońce.

Ożywcze, chłodne powietrze płaskowzgórza i jasne światło poranku płynęły na świat, jak fale, pieściły zmysły i przenikały rozkosznie aż gdzieś głęboko, do duszy samej. Czarne myśli uleciały, jak mrok, kiedy wzejdzie słońce, umysł stał się jasnym, pogodnym, pierś obszerniejszą. Serce i mięśnie pracowały dziwnie łatwo, sprężyście, jak gdyby w świetle tem i w tem powietrzu życie większej, nowej nabrało siły. I wydało mi się, że nie męcząc się iść mógłbym za czarnym Mabrukim w nieskończoność, tak lekko i tak ochoczo poruszały się nogi.

Jasna, upajająca ziemia Sfinksa oczarowała mnie i podbiła od pierwszej chwili. Zrozumiałem od pierwszego wejrzenia, że wielbić i kochać ją można do fanatyzmu.

Gdzie Europa, gdzie miasta, gdzie szare, mrówcze życie człowieka, gdzie jego cywilizacja cała?! Ziemia leży dziewicza, dzika, nietknięta pługiem, pierwotna, jak w dzień stworzenia; panują nad nią żywioły tylko: słońce na niebie, ogień, kiedy palą się stepy, powodzie podczas massiki i wszechpotężna siła życia.

Przeróżnych, niezliczonych śladów życia zwierzęcego spotykamy na stepie pełno.

Uderza mnie istna sieć ścieżek, krzyżujących się tak gęsto, że przejechać możnaby niemi na rowerze wzdłuż i wszerz kraj cały. Ścieżki te, gładkie i twarde jak asfalt, wydeptane zostały przez stada zwierzyny, głównie przez zebry, które ciągnąć zwykły sznurami.

Mijamy też wciąż, podobne do lisich jamy różnej wielkości, zamieszkiwane przez hjeny, szakale, jeżozwierze, a nawet dziki afrykańskie *(Phacochoerus)* i inne zwierzęta, chroniące się pod ziemię przed drapieżnikami.

Przed jedną z jam Mabruki pokazuje mi świeży pomiot i odciśnięte na piasku tropy, prowadzące do wnętrza. Gospodarz widocznie jest w domu i dbałym być musi o czystość mieszkania, bo, jak w starych siedzibach szlacheckich, „wychodzi na powietrze".

Zresztą śladów mało, gdyż na spieczonej, twardej, jak kamień, ziemi zwierz ciężki nawet tropu nie pozostawia, a pył roznoszą wiatry, dmące ustawicznie na płaskowzgórzach.

Nie uszliśmy tysiąca kroków, kiedy w stronie, dokąd poszedł L., rozległo się pięć wystrzałów. Shikari zatrzymał się i spojrzał na mnie pytająco. Machnąłem ręką, że tam broń próbują tylko. Spotkanie zresztą nieprawdopodobnem nie było, bo zwierza, choć bardzo daleko, widzieliśmy wciąż. Przeważały zebry w stadach po kilkanaście i po kilkadziesiąt głów, choć widać było również i rude niezdarne kongoni, i znaczone czarno na boku, rzucające się w oczy zdaleka, gazelle Thomson'a.

Tymczasem jednak o strzelaniu nie mogło być mowy. Na równym, nagim stepie zwierz widział nas zdaleka i podchodzić się bliżej, niż na 600 — 800 metrów, nie pozwalał. Pierwszy zaś strzał na Czarnym Lądzie chciałem dać niezawodny, bo wróżyłem sobie w duszy, że los pierwszej kuli zapowiedzią będzie losów całej wyprawy. Strzelać więc postanowiłem tylko na bliską metę i napewno.

Zwierz tymczasem dziwnie był czujny i wynosił się, kiedy ledwie go widać było. Zebr i gazelli pełno było dokoła, a mimo to teren przed nami pustoszał, jak wymieciony. Rekord ostrożności trzymała para spotkanych strusi, kogut i kura, które uciekały, kiedy byliśmy od nich dalej, niż na kilometr. Ostrożność zresztą zbyteczna, bo strzelać do nich nie wolno.

Pomknęło nam wprawdzie z pod nóg kilka zajęcy, czerwieńszych i z większemi słuchami niż nasze, ale jechać do Afryki, żeby strzelać tam do zajęcy!... Nie złożyłem się nawet. Żadnej pokusy również nie budziły frankoliny, rwące się z furkotem, jak kuropatwy

ż pod wyżła. Zresztą repetjer i paradox nabite miałem tylko kulami.

Posuwaliśmy się wolno, często przystając, bo nacieszyć się nie mogłem widokiem i ilością zwierza. Mimo całej gorączki nie śpieszno mi było do strzału; lornetki nie odejmowałem od oczów. Przedłużałem oczekiwanie, delektując się naprzód wrażeniami, o których wiedziałem, że wcześniej czy później, ominąć mnie nie mogą.

Idąc, spuszczaliśmy się wciąż jeszcze w dolinę, której lekka pochyłość, dostępna dla wzroku, rozpościerała się przed nami na mile całe. Mabruki zatrzymywał się co chwila i pokazywał mi uciekające w oddali zwierzęta. — „Cibra, Tommy, hartebeest, ostricz" — objaśniał łamaną angielszczyzną.

— „Pig". O kilkadziesiąt kroków, zwrócone w naszą stronę, stały na skraju małego lasku akacjowego cztery dziki: mniejsze trzy sztuki i odyniec. Przez szkła widać było dokładnie potężne kły, sterczące mu wysoko nad ryjem, jak dwa białe półksiężyce.

— „Ej, takiego dostać na początek!" — myślałem pożądliwie, zdejmując sztucer z ramienia i nastawiając lunetę. Niestety, dziki innego były zdania i zniknęły, zanim pomyśleć mogłem o strzale.

Równie ostrożne były antylopy i zebry, wciąż setkami harcujące po stepie. Ciągnie stado wprost na nas, zawietrzy, ustawi się frontem, jak szwadron konnicy, i popatrzywszy chwilę w naszą stronę, pryska z kopyta, tonąc w chmurze pyłu.

Uszliśmy już duży kawał drogi i sztucer, który dźwigałem napróżno, poczynał mi ciężyć, a dojść do strzału, mimo obfitości zwierza, nie mogłem.—„Upepo mbayo — bad wind" — tłomaczył Mabruki, zapewniając, że koło południa, kiedy uciszy się powietrze i upał nastanie większy, zwierzyna dotrzymywać będzie lepiej. Wiatr rzeczywiście mieliśmy prosto w plecy i co żyło wynosiło się na wiorsty całe. Zachodzić zaś pod wiatr i nakładać drogi nie było czasu ze względu na karawanę, która oddaliłaby się tymczasem zbytnio. Uzbroiłem się w cierpliwość i, licząc w duszy na szczęście, czekałem południa.

Mijaliśmy grupę skał, między któremi rosły kępami ciernie i wysoka, sucha trawa, kiedy, spłoszona przez nas widocznie, wyskoczyła mała, czerwonawa antylopa, z różkami prostemi, jak szydła, i niepewna skąd zagraża niebezpieczeństwo przystanęła, nie widząc nas, o sześćdziesiąt kroków.

Nastawiłem śpiesznie lunetę na repetjerze i celując starannie strzeliłem. Nie widziałem w trawie czy upadła, lecz na tę odległość pewny byłem strzału. — „Tajari, tajari!" — gotów! — krzyczał shikari, biegnąc na miejsce, gdzie stał przed chwilą zwierz. — „A bull!" — byk! — wołał zdaleka, podnosząc w górę stworzenie, nie większe niż półroczne koźlę sarny. — „Co to za zwierzę, jak się nazywa?" — „Dik-dik, a bull". Dla Mabruki'ego każdy samiec był bykiem, a każda samica krową, czy o antylopę chodziło, o lwa, czy o dzika.

Tymczasem „byk", wiszący w powietrzu za skoki, jak zając, był nie dik-dikiem, a ślicznym „steinbokiem", zgrabną, filigranową antylopą, ważącą nie więcej niż piętnaście funtów, z nogami grubości małego palca. Trafiony kulą w samą komorę, zwierz padł, nie wiedząc kiedy zostały zabity. Jako trofeum, zdobycz wartość przedstawiała małą, ale los dopisał — pierwszy strzał w Afryce był szczęśliwym. Teraz strzelać mogłem jak wypadnie i podłuwać nawet. Na celności pierwszego strzału zależało mi tem więcej, że pozyskać chciałem zaufanie mego czarnego towarzysza i pokazać mu, że trafiać umiem.

W Afryce, gdzie spotkanie z grubym zwierzem i połączone z niem pewne niebezpieczeństwo zdarzyć się mogą na każdym kroku, ufność sportsmana do shikarego i shikarego do sportsmana warunkiem jest koniecznym. Czarny strzelec wierzyć musi ślepo w odwagę, w nerwy i strzał białego, a myśliwy ufać, że shikari nie opuści go w potrzebie i w danej chwili poda mu broń na zmianę.



Fragment zarośli

Mabruki wypatroszył „steinboka" i, związawszy mu na krzyż nogi, zarzucił na plecy. Z ziejącego teraz ohydną jamą brzucha zwierzęcia sączyła się krew; płynęła nitką po szyi i z suchego, pięknego łebka spadała purpurowemi kroplami, jak łzy.

Nie uszliśmy trzystu metrów, kiedy w haszczach, jak szarak w zagaju, pomknęła przed nami hjena. Zwierz jednak, podobny z postaci i ruchów do letniego, wyleniałego wilka, ukazał się i zniknął w zaroślach tak szybko, że pochwycić za broń nie miałem czasu. Spała widocznie mocno, skoro nie zbudził jej strzał dany w pobliżu i zejść ją mogliśmy niespodzianie.

Zwierzyny więc nie brakowało — szczęścia mieć tylko należało trochę i cierpliwości.

Krajobrazy, wśród których prowadził mnie shikari, znane były z opisów i z fotografij tak dobrze, tyle o nich słyszałem od myśliwych, tak często myślałem o nich i odgadywałem je wyobraźnią, że chwilami snuło mi się w pamięci coś, jak wspomnienie, jak nieuchwytne, mgliste uczucie, że świat ten znam, że byłem w nim kiedyś i obcowałem z nim zmysłami. A może naprawdę, w innem wcieleniu, duch mój mieszkał już niegdyś na Czarnym Lądzie i odszukiwać próbował teraz dawne wrażenia.

Okolica wciąż ten sam miała wygląd: żółta przestrzeń pokryta suchemi haszczami, między któremi tu i ówdzie rosną wachlarze palm i świeczniki ostromleczów. Porozrzucane, sterczą na stepie dziwaczne kopce termitów, brunatne skały i rosochate drzewa akacyj, na których, wypatrując żaru, czarne, nieruchome, siedzą kanie i sępy. Pasmo wzgórz, jak rama, zamyka obraz na widnokręgu.

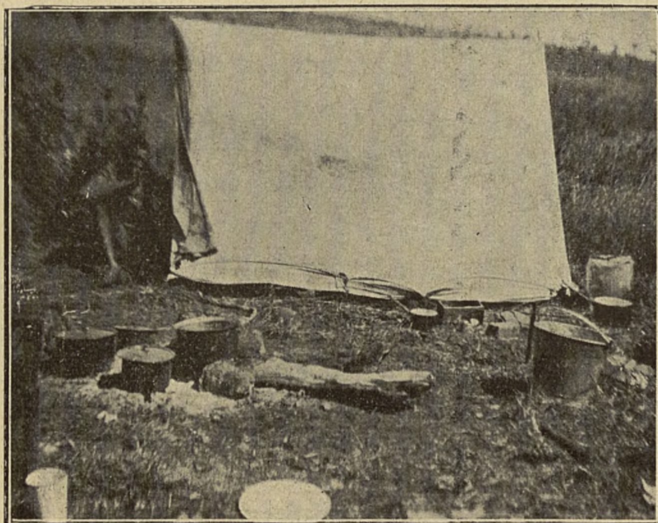
Wznoszące się coraz wyżej słońce zaczyna palić, nadchodzi „biały upał", najgorętsze godziny dnia. Niezadługo pomyśleć wypadnie o odwrocie ku karawanie, bo jedzenia ani dość wody nie mamy.

Na statku chodziłem mało i zależałem pole. Odczuwam to teraz i na gorącu męczę się szybko. Zwykły

brak wprawy, która powróci. Za trzy dni będzie lepiej.

„Safari" dawno już zniknęła nam z oczów i musi być daleko, bo nie widać kurzawy, która znaczy jej drogę. Odszukałbym ją jednak bez przewodnika nawet, tak dobrze widać góry, ku którym idziemy.

Na równinach zwierzyny więcej teraz jeszcze niż zrana. Stada przestały już żerować i, schodząc z pastwisk na „białe godziny", szukają cienia. Gdzie spojrzeć, ciągną antylopy, zebry i gazelle, a jest ich tyle, że zajmować przestają wkońcu. Przepowiednia shikarego jednak nie sprawdza się. Mimo gorąca zwierz ruchliwy jest wciąż i ostrożny — o strzelaniu niema mowy.



Namiot w obozie

Oprócz snujących się dokoła zwykłych odmian, z grubszych sztuk ukazują się żyrafy. Wychodziliśmy z kępy zarośli, kiedy pokazał mi je na stepie Mabruki. Podobne zdaleka do prostych, suchych pni, sterczących nad haszczami, zlewały się z otoczeniem tak zupełnie, że dopatrzyć ich mimo szkieł nie mogłem odrazu. Zbite w gromadkę, stały między drzewami akacyj, a rozpoznałem je wówczas dopiero, kiedy poruszyła się jedna. W stadzie były dwa stare ciemne byki, jaśniejsze barwą krowy, i cielę ledwie sięgające tułowia matki, razem sześć sztuk.

— „Twiga"! — Bez wstydu wyznam, że kiedy usłyszałem słowo to z ust shikarego, zabiło mi serce. Żyrafy na swobodzie! Mógłbym do nich strzelać. Żyrafy, jako zwierzyna! Stanowczo nie dostroiłem się jeszcze do rzeczywistości i nie spowszedniały mi wrażenia, jakie daje Afryka. Mój zachwyt zresztą platoniczny był zupełnie, bo daleki byłem od zamiaru pozbawiania życia kilkudziesięciu cetnarów mięsa i zabijania przepysznego stworzenia, śmierć którego prawie nie daje trofeum i pożytku nie przyniosłaby mi żadnego.

Uciekając na nasz widok, różne zwierzęta taktykę mają niejednakową. Kiedy nadchodzimy, zebry przestają żerować, podniósłszy głowę przez chwilę patrzą i nagle, jak na komendę, ruszają galopem wszystkie naraz. Potem o kilkaset kroków przystają, zwracają głowy w naszą stronę i upewniwszy się, że nie ku nim idziemy, najspokojniej skubią dalej trawę. Inaczej gazelle, które nie uciekają niby i pasą się wciąż, a tylko bacząc pilnie żeby odległość, jaka nas dzieli od stada, nie umniejszała się zbytnio, uchodzą przed nami powoli, jak pędzona gromada owiec. Możnaby tak iść za niemi mile całe, nie zbliżając się o krok.

Najciekawszym jest sposób zachowania się dużych, ostrożnych hartebeest'ów. Kiedy próbujemy podchodzić je, stado pozornie nie troszczy się o nas i nie patrzy nawet w naszą stronę. Po chwili jednak od stada odłącza się jedna sztuka, zawsze krowa, „a cow", jak zapewnia mnie Mabruki, wysuwa się naprzód i, nie spuszczając z nas oczu, śledzić poczyna uporczywie każdy nasz ruch. Jeżeli jest w pobliżu kopiec termitów, albo złom skały, hartebeest wskakuje na nie i obserwuje stamtąd co zamierzamy. Próżna teraz wszelka ostrożność i fortele, placówka widzi wszystko, co dzieje się dokoła. Najmniejszy ruch budzący podejrzenie — rozlega się głośne, świszczące chrapnięcie krowy na czatach, która ostrzega własne stado i inną zwierzynę, stojącą w pobliżu. Wynik zawsze ten sam: co żyje, ulatnia się jak kamfora i otoczenie pustoszeje. Doświadczeni myśliwi utrzymują, że tam, gdzie stoją hartebeesty, polować na inną zwierzynę nie warto.

Równie czujne, a może bystrzejsze jeszcze i trudniejsze do podejścia są sięgające wzrokiem daleko żyrafy i strusie, baczności których, jak oku detektywa, nie ujdzie na szerokim stepie nic. Na nogach wysokich, jak szczudła, z długą szyją, wystającą nad haszczami, jak peryskop, ostatnie zwłaszcza widzą wszystko. Częstokroć myśliwy nie podejrzewa nawet ich obecności, kiedy, napozór bez przyczyny, zaalarmowana przez strusia, zwierzyna zaczyna uciekać.

Hartebeesty zresztą, jako nierównie pospolitsze, psują polowanie częściej i niecierpiane są też za to przez myśliwych. Zajęty zwierzem, którego podchodzi, myśliwy nie wie nawet, że gdzieś w sąsiedztwie, nieruchomo, jak wykuty z kamienia, stoi hartebeest na straży i patrzy.

Na piekielnym upale strzelec zgarbiony, połamany, ledwie żywy skrada się, pełzając godziny całe, aż zmordowany, zlany potem, już-już ma strzelać, kiedy niespodzianie z boku gdzieś albo z tyłu odzywa się fatalny sygnał. Zatętniało, nad haszczami trochę pyłu... zwierz poszedł. Cała krwawa praca, cały trud na nic. Myśliwy podnosi się, prostuje zesztywniałe krzyże i z przekleństwem na ustach patrzy, jak niezgrabnym „kurcgalopem" wynosi się sprawca złego, hartebeest.

Mniej zajmująco, niż jego duchowe właściwości, przedstawia się zewnętrzna postać zwierza. Wielkości dużego jelenia, rudo-czerwony hartebeest, widziany zdaleka, sprawia wrażenie karykatury sztuki bydła. Wysoki w kłębie, ze spadzistym krzyżem, o łbie zbyt wydłużonym i zbyt delikatnym, na wysokość swą dziwnie wąski w piersiach i w zadzie, hartebeest-kongoni uchodzić musi w pojęciu naszem za istotę dziwnie niezgrabną, jak gdyby chybioną, nieudaną. Stwarzając go, przyroda nie liczyła się z pewnością ani z proporcją, ani z estetyką. Zdaje się zresztą, że taksamo przedstawia się hartebeest i krajowcom, bo miejscowa jego nazwa „kongoni", oznacza obelgę, jak u nas „bydlę".

Trudno o widok śmieszniejszy i bardziej cudaczny, niż igrające między sobą kongoni. Nasze przysłowiowe cielęta, kiedy gonić się poczną i wyprawiać szprynce, uchodzić mogą w porównaniu za wzór powagi i gracji. Nieraz, niepostrzeżony, patrzyłem na nie długo przez lornetkę, bawiąc się jak na przedstawieniu.

STANISŁAW ZABOROWSKI

(D. c. n.)

DZIECIŃSTWO

Zajaśniał odblask jutrzenki w perlistych kroplach rosy, drżących na liściach zawieszonych na źdźiebełkach trawy i na misternej tkaninie pajęczych sieci. Zajaśniał odblask jutrzenki — stał się pierwszym przebłyskiem świadomości w naiwnie patrzących na nieznany świat — świecach koźlęcia-noworodka. Tymczasem dla małego koziołka niezdarnie chwiejącego się na długich, cienkich nóżkach — całym światem nieznanym i pełnym tajemnic był przytulny gąszcz leszczynowy, w którym się spełniło przedziwne misterjum narodzin.

Mijały dnie umajone świeżą zielenią, rozkwiecone barwnemi kwiatami, tchnące życiodajnem ciepłem, opromienione uśmiechem słońca lub przepojone melancholją krótkotrwałej letniej szarugi, kiedy ziemia zmęczona spiekotą chciwie chłonęła błogosławieństwo deszczu. Potem znów jaśniało słoneczko, uśmiechając się przez łzy deszczowe. Koziołek, będąc jedynakiem, rósł nadzwyczaj szybko. Służyło mu mleko matczyne. Koza nie mogła narzekać teraz na brak pokarmu — pełno było w lesie i na łąkach smakowitych ziół i krzewinek, a na polach okolicznych też nie brakło przysmaków w postaci młodej, słodkiej koniczyny i seradeli. Sarenka, choć zbyt wielkiego doświadczenia nie miała, bo dopiero pierwszy raz została matką, posłuszna podszeptom żyjącego w jaźni każdego dzikiego stworzenia opiekuńczego ducha, umiejętnie unikała wszelkich niemiłych niespodzianek i niebezpieczeństw, na każdym kroku czyhających na niedołężne sarniątko.

Pewnego razu malec cudem tylko uniknął okropnej śmierci we wnyku, misternie w gąszczu zastawionym. Koza, idąc naprzód, trąciła zlekka pętlę raciczką i odskoczyła w porę! Czemprędzej zawołała jedynaka i wróciła razem z nim po własnym tropie. Każdy z tych w niepowstrzymanym biegu mijających dni przynosił nowe doznania, nowe doświadczenia i nowe, niezawsze miłe emocje. Koziołek poznawał wielki, pełny niespodzianek świat — bory sosnowe, rozdzwonione niemilknącym szumem igliwia, rozszczebiotane poszeptem drobniutkich okrągłych listeczków zarośla osikowe, mroczne, owiane surową zadumą gąszcze grabowe i podmokłe, ocieniające tajemnicze bagienka — lasy olchowe. Zapoznał się ze wszystkiemi zaletami pól uprawnych, gdzie odrazu, nie szukając, można było znaleźć dowolną ilość smacznego i pożywnego pokarmu. Jednocześnie przekonał się prawie na własnej upstrzonej białemi plamkami skórze, jakiemi niebezpieczeństwami grozi sąsiedztwo wsi, gdy tylko dzięki sprytowi swej matki uratował życie.

Włóczący się, nawpół zdziczały pies, przydybał sarny w koniczynie. Matka w obliczu śmierci zdobyła się na rozpaczliwy krok. Jednym potężnym susem znalazła się między napastnikiem a przerażonym synkiem. Pies rzucił się ku niej, lecz zwinna koza odskoczyła na bok. Rozpoczęła się gonitwa. Mocnemi, pewnemi susami sadziła koza przez pola, przez miedze i rowy — pies nieustępliwie, charcząc ze zmęczenia, pędził w ślad za nią. W gorączce pościgu zapomniał widocznie o istnieniu łatwiejszej do schwytania ofiary — małego koziołka, który ukrył się w życie i leżał tam cichutko, czekając na powrót matki. Koza dotarła wreszcie do brzegu lasu i pomknęła ze zdwojoną szybkością, wyprzedzając znacznie swego prześladowcę. Pies jednakże nie zrezygnował z polowania. Z wywieszonym, wyschniętym ozorem, z ponurym blaskiem w ślepiach — pędził krwiożerczy włóczęga. Długo trwał ten zacięty pościg. Wreszcie pies, nie mogąc dogonić szybkonogiej ofiary, zrezygnował i ze zwieszonym łbem, powoli podreptał w kierunku gęstego zagajnika, przylegającego do pól, gdzie łatwiej było o zdobycz, gdyż można tam było zaskoczyć znienacka naprzykład jakiegoś słodko drzemiącego w kotlinie szaraka.

Zgoniona, ledwie żywa ze zmęczenia sarna, przemogła nieprzepartą chęć położenia się w cieniu gęstych zarośli i, ostrożnie kołując, skierowała się w stronę pola, gdzie cierpliwie czekał na powrót matki maleńki koziołek. Wiedziona nieomylnem wyczuciem terenu, wkrótce znalazła swe dziecię, starannie je wylizała, nakarmiła i udała się wreszcie w głąb lasu, na zasłużony odpoczynek.



Trojaczki. Fot. Inż. J. Robakowski

Zapłonął skwarem upojnym, otulił ziemię aksamitem gwiaździstych nocy miesiąc najgorętszych sarnich uniesień, lipiec. Rozedrgały się lasy pobekiwaniem i poszczekiwaniem zakochanych rogaczy. Tu i ówdzie słychać było suchy chrzęst zderzających się parostków rycerzy, walczących o nadobne kozy. Ciszę leśną przeszywało kuszące piszczenie gonionej sarny, łączące się w pełen wymowy duet z ochrypłym ze wzruszenia głosem rogacza, zdobywającego najsłodszą nagrodę, osiągającego cel życia. Cóż bowiem wieńczy wszystkie nasze zmagania z losem, wszystkie troski i tryumfy, wszystkie smutki i krótkie błyskotliwe chwile radości, jak nie rozkosz posiadania, świadomość posiadania młodego, drżącego lipcowym szałem ciała wybranki — w tej chwili jedynej, wyśnionej? Zew miłości lipcowej czasem silniejszy jest nawet od miłości macierzyńskiej — tkliwej i ofiarnej. Nic też dziwnego, że młoda sarenka, troskliwie opiekująca się swym jedynakiem, ratująca go z narażeniem własnego życia, porwana potężnym głosem natury, zapragnęła znów krótkotrwałej rozkoszy miłosnych uniesień. Ostatni odruch czułości kazał jej dobrze ukryć w gęstwinie coraz bardziej ufającego w swe siły jedynaka. Nakazała mu zachowywać się poprawnie i czekać spokojnie na jej powrót.

Lekkim, tanecznym krokiem, wstydliwie się ociągając, podążyła na małą śródleśną polankę, skąd dolatywały wzbudzające miły dreszczyk odgłosy sarniej weselnej gonitwy. Przekonała się wkrótce naocznie, że odbywały się tam pełne kurtuazji wstępne zaloty okazałego, dorodnego rogacza do powabnej — w pełni rozkwitu kobiecości — kozy. Ambitna sarenka postanowiła za wszelką cenę pozyskać względy pięknego amanta i odnieść w ten sposób zwycięstwo nad rywalką. Nie zwlekając pisnęła przeciągle, kusząco, kryjąc się za gęstym krzakiem jałowca. Rogacz przystanął i przestał zataczać taneczne koła po tropie kokieteryjnie uciekającej przed nim uwodzicielki. Sarenka ukryta za jałowcem pisnęła jeszcze raz i tyle słodkich obietnic włożyła w swój głos, że rogacz zdecydowanie zatrzymał się i nawet parę kroków postąpił w jej kierunku. Rywalka zastygła w bezruchu, niemile zdziwiona zmianą sytuacji i niechętnie zerknęła powłóczystemi świecami w stronę intruzki. Rogacz szczeknął ochryple i, słysząc zachęcającą odpowiedź, bez dalszego namysłu ruszył na spotkanie nowej nieznajomej, a dlatego tak upragnionej bohdanki. Ona piszcząc — to cicho, to głośno i przeciągle, pragnąc wzbudzić w rogaczu należny pięknej płci szacunek — cofnęła się w głąb lasu, okrążając gruby pień. Rogacz za nią, ona znów trochę dalej, aż wreszcie, przy zachowaniu wszystkich nieodzownych w tych wypadkach form towarzyskich, uległa jego gorącym prośbom. Uległa w porę, nie przeciągając struny dość nikłej cierpliwości męskiej, jak to uczyniła jej zbyt ufna w swe czary rywalka.

A tymczasem mały koziołek, leżąc w cieniu rozłożystego krzaka, odczuł po raz pierwszy, co to beznadziejna samotność, tchnąca przerażającą pustką i obcością otaczającego świata. Długo czekał na matkę maleńki sarnik. Porwana wirem miłosnej zabawy, może nawet chwilowo zapomniała o tem, że gdzieś w głębi lasu czeka na nią stęsknione, głodne stworzenie — jej ukochany jedynak! Nareszcie ochłonęła nieco sarna z lipcowego szału i przypomniała sobie o ciążących na niej obowiązkach matki. Czemprędzej pomknęła do swego malca, nakarmiła go i pocieszyła, aby znów powrócić do niecierpliwie czekającego na kochankę rogacza, którego w każdej chwili mogła skusić jakaś inna, spragniona pieszczot koza. Znowu pozostał malutki sarnik w samotności. Poznał już uśmiechy i grymasy życia. Poznał słodycz matczynej miłości i troskliwości, poznał, choć jeszcze niezupełnie, otaczający go świat, kryjący w sobie tyle niespodzianek i niebezpieczeństw i poznał wkońcu czem jest samotność, napawająca zimną trwogą ufną duszyczkę rozpieszczonego jedynaka, opuszczonego przez żądną przygód rozbawioną matkę.

INŻ. W. LINDEMANN

JUŻ NIGDY NIE ZASTRZELĘ PIERWSZEGO KOZŁA!

Brrr... zimno! Ręka bezwiednie się wyciąga, aby nasunąć kołdrę. Lecz zamiast ciepłego okrycia, trafia na zimną lufę strzelby. Mroźne to zetknięcie wytrąca mnie z błogiego półsnu.



Gruby kozioł, ubity w maj. Krzywcza u PP. Bocheńskich przez p. St. Rozwadowskiego

Unoszę się nieco na łokciach. W tej ciszy siano przykryte płaszczem przeraźliwie głośno pode mną chrzęści. Przecieram oczy, rozglądam się wkoło. Nie bardzo wiem gdzie jestem, ale w tej chwili staje mi przed oczami wczorajszy przyjazd do tej leśniczówki, głęboko zaszytej w bory poleskie, a od świata oddzielonej rozległemi bagniskami.

Z kątów chałupki, w których jeszcze mglisty wisi mrok, dochodzi chrapanie dwóch kolegów. Ależ ciągną temi nosami, jak potężnie nadwyrężone miechy — myślę zgorszony. Ciekaw jestem, czy i ja tak chrapałem. Chyba nie. Dla rozgrzewki drapię się za uchem z rozmysłem, napinając mięśnie jaknajmocniej, bo ziąb trzęsie niesamowity.

Nagle — co to? Jeszcze głowy nie mam czasu odwrócić, a tu znowu: bum, bum, bum — szyby w okienku dźwięczą.

— Panoczku, pora wstawaty!

Głowa starego leśnika rysuje się za oknem na tle zaróżowionego nieba. I znowu cichy głos, jakby z wielkiej odległości:

— Panoczku! Panoczku!

— Dobrze, dobrze, już idziemy!

Wyciągam z barłogów rozczochranych, z kaprawemi od snu oczami kolegów i wychodzę.

W zimnej i różowej mgle jesiennego poranka tracę resztki ociężałości. Mimo, iż szczęki latają, a łydki się trzęsą — mimo, że nogi ślizgają się w lodowatem błotku po nocnym deszczu, jestem rześki, wesoły i dobrej myśli.

Ale w leśniczówce coś łomoce, a reszty towarzystwa wciąż nie widać. Wreszcie we drzwiach ukazują się dwie postacie. Idą koledzy! Co chwila któryś ziewnie rozgłośnie, to ręce wyciągnie do góry. Ale i oni prędko pozbywają się senności, a zaczynają dla odmiany kłapać zębami, jak żądne krwi wilki. Zamiast krwi dostają od gospodyni po szklance mleka i pajdzie razowca...

Nieco pokrzepieni i rozgrzani, wędrujemy do lasu. Na małej polance przyłącza się jeszcze dwóch gajowych. Odbywają krótką naradę, wreszcie każdy zabiera jednego z nas i rozchodzimy się. Ja ze starym leśnikiem — stoimy na polance i czekamy, aż tamci schowają się w mglistym, zielonym gąszczu.

Teraz dopiero ruszamy. Długi czas maszerujemy, strącając przeraźliwie zimne krople deszczu, które błyszczą na gałęziach. Gdy taka kropla wpadnie za

kołnierz, to człowiek tak się zegnie, jakby mu nóż wsadzono w plecy. A ona, bezlitosna i zimna, spływa wzdłuż krzyża...

Wreszcie gąszcz rozstępuje się przed nami i po pewnym czasie znajdujemy się na bagienku, porosłem tylko zrzadka karłowatą brzezinką. Błoto mlaszcze pod nogami, które raz po raz ześlizgują się z mokrych bali i grzęzną w niem po kolana. A potem maszerują czarne, jakby należały do prawowitego syna Afryki.

Przewodnik postępujący przodem nagle staje. O mało nosem na niego nie wpadłem. Ręką daje znak: stać!

Staję więc i rozglądam się na wszystkie strony. Tuż przy mnie stoi mokry stóg. Mgła podnosi się leniwie z nad moczaru. W dali majaczą wikliny nad rzeką, a po niebie ciągną chmurki, jak wstęgi różowe. Tuż nad widnokręgiem pali się jeszcze zimna, czerwona kula. Słońce wstaje jasne. We mgle przede mną pogwizdują miękko kulony.

Przenoszę zwolna wzrok na twarz leśnika: oczy lekko zmrużone przeszywają mgłę i z nabożnem niemal skupieniem wlepiają się w jeden punkt. Szukam tego czegoś.

I nagle, jakbym dopiero teraz otworzył oczy, widzę grzbiet dużego kozła i główkę ukoronowaną cienkiemi różkami. Nogi i brzuch toną w mleku mgły. Dzieli mnie od niego ze sto kroków. Odległość duża, ale strzał łatwy, bo kozioł stoi zupełnie nieruchomo i tylko bacznie nas obserwuje.

Jak mogę najwolniej, podnoszę strzelbę. Lecz nagle rogacz rzuca się w tył i znika. Po chwili dochodzi nas nerwowe jego poszczekiwanie. Przepadło! Jeszcze przez chwilę stoimy bez ruchu, wpatrzeni w miejsce gdzie znikł... Wreszcie opuszczam drżącemi rękami strzelbę.

Z pod oka zerkam na przewodnika. Widocznie jest zły. Coś mruczy pod nosem. Ale wkrótce mija żal. Zaczyna pocieszać, zresztą bez wielkiego przekonania, mnie i siebie, że tutaj kozłów tyle co drzew i że z pewnością niejednego jeszcze spotkamy. Jednak po długiej wędrówce, spocony, przemoknięty, stwierdzam z przykrością, że chyba drzew w tym lesie jest trochę więcej niż kozłów. Sądzę, że dzisiejszy spacer przekonał o tem i mego kompana, bo nie opierał się, gdy zaproponowałem powrót.

Idziemy, idziemy, nosy na kwintę zwieszone, nogi ledwo ciągną się za nami. Aż tu gałęzie, co biły po oczach, rozwierają się na dwie strony i oczom ukazuje się nieduża polanka. Na jej środku ciemnieje kilka krzaków wikliny.

Leśnik staje, wyciąga się ku przodowi, patrzy, nos mu się wydyma, jak u węszącego ogara. A może i coś jest? — zdaje się mówić. Ruchem ręki wskazuje mi miejsce za pniakiem. Sam bez słowa znika w gąszczu. Po chwili widzę go sunącego do krzaka na środku polany.

Ledwo się za nim skrył, gdy na prawo wytryska sarna. Strzelba mimowolnie drgnęła i po krzyżu przeszedł prąd. A ona, smukła, sprężysta, sadzi przez polanę. Nie śpieszy się jednak. Pewno wie, że jest bezpieczna. Zagłębia się w zieloność.

Patrzę jeszcze w to miejsce... Ale teraz dochodzi mych uszu jakiś bliższy tupot. Gorączkowo przenoszę wzrok na środek polanki... Wprost na mnie sadzi kozioł! Trochę daleko, niech bliżej podbiegnie... jeszcze... jeszcze.... Lecz w tym momencie zwierzę, jakby mnie zobaczyło, podrywa się na tylne nogi i jednym susem jest przy krzakach. Błyskawicznie rzucam strzelbę do ramienia: huk... i dym wszystko zasłonił. Bezwiednie daję kilka kroków na bok i tylko chwiejące się gałęzie mówią o prawdziwości zjawiska...

Pędzi leśnik z oczyma wytrzeszczonemi i krzyczy, że kozioł po strzale upadł, ale się znowu zerwał i poszedł w gąszcz! Tyle z tego nawału słów i wykrzykników zrozumiałem. Z przejęcia staremu aż ślina pod wąsami bieleje.

Krótko trwa narada wojenna. Trzeba iść do wsi po psy. Czekamy długo. Wreszcie są. Węszą, niespokojnie się rzucają i popiskują. Uwolnione z postronków mkną w las. Za niemi pędzą Poleszucy. Łomot po krzakach coraz dalej słychać. A ja z leśnikiem stoimy i słuchamy. Już ledwo - ledwo ucha jakieś odgłosy łowi. Patrzymy na siebie, jakby na twarzach widoczny był cały pościg.



Kapitalny rogacz ubity przez mec. A. Dziedzickiego. (Nadniemeńskie Kółko Łow.)

Aż nagle nad krzaki wytryska gdzieś daleko zgiełk psich głosów i rozbrzmiewa coraz silniej, teraz jakby nad naszemi głowami, wśród koron drzew. Nie patrząc na nie, skaczę w krzaki, a chociaż korzenie i gałęzie chwytają mnie za ubranie, za głowę, za ręce — nogi mkną z szybkością Greka, który widzi przed sobą palmę zwycięstwa.

Zdyszany, sapiąc wypadam na polanę. Nad kępą trawy coś brunatnieje, a wkoło niej tańczy kilka postaci w szarych świtkach. Stary leśnik przyjaciel wybiega tuż za mną z krzaków i w przedziwnych pląsach sunie do kozła. W dzikich pokrzykach całej naszej gromadki przebija radość, wielka radość... Zdaje mi się, że moi towarzysze są bardziej uradowani, niż ja sam.

Wreszcie już nieco zmęczeni, dajemy spokój i bierzemy się na serjo do roboty. Wyjmuję z za pasa ogromny nóż kowalskiej roboty, tak ciężki, że można go używać zamiast małego toporka, i wycinam gruby i długi kij. Kozła — za nogi do drąga i wio do leśniczówki!

W kilka godzin później opuszczam leśniczówkę z kozłem pod słomianem siedzeniem wózka. Żegnają mnie hucznie leśnicy, ucztujący przy zafundowanych im „mierzawczykach". Wszyscy są dzisiaj weseli. A mnie smutek ogarnia. Dlaczego? Nie wiem... Czy że drewniane osie wózka tak żałośnie skrzypią? Czy że taki cudny dzień mego życia jest już poza mną, że pierwszego kozła już nigdy, nigdy nie zabiję...

WOJCIECH NIKLEWICZ

GORZKIE ROZWAŻANIA

Artykuł p. t. „Śrutem czy papierem?" P. Redaktora W. Garczyńskiego w „Łowcu Polskim" z dn. 15 stycznia r.b., przypomniał mi niedawną rozmowę, jaką miałem z doskonałym myśliwym austrjackim, p. Zeisigiem, o polowaniach na dropie w okolicach Wiednia. Przyznać muszę, że już sama wiadomość o bytowaniu dropi w odległości 30 km od naddunajskiego grodu zdziwiła mnie i mimowoli wymknęły mi się słowa o dropiu w Polsce, jako o ptaku przechodzącym z roku na rok coraz więcej w dziedzinę legendy, ochranianej pieczołowicie opieką bezwzględnego zakazu polowania. Skoro zaś dowiedziałem się, że dropie należą do zwierzyny zwykłej, na którą poluje się wedle przyjętych zwyczajów łowieckich, nie uważając tych pięknych ptaków za jakiś nietykalny pomnik przyrody, wolałem rozmowę z p. Zeisigiem skierować na inny przedmiot i o dropiach w Polsce już nic nie wspominałem. Wstyd mi było.

Ponoć nietylko pod Wiedniem, ale i pod Berlinem łatwiej dropia nietylko zobaczyć ale i zapolować nań, aniżeli u nas na Wołyniu czy Podolu, względnie na Pomorzu. Polują w Austrji na dropie, strzelając kulami z podjazdu czy podchodu, oczywiście przeznaczając do odstrzału zgóry określone ilości.

Z rozmowy z p. Zeisigiem dowiedziałem się, że w Austrji przy scalaniu gruntów wiejskich nie rozbijają jednocześnie wsi samych na poszczególne zagrody, oddalone nieraz kilometrami od sąsiednich. Wsie pozostają nadal też scalone, mogą prowadzić zwyczajne gromadzkie życie, tak naturze ludzkiej odpowiednie. Kumoszka, chcąc porozmawiać z sąsiadką, nie potrzebuje rwać tysięcy metrów, rozmawia po staremu przez płot, poważni gospodarze schodzą się po dawnemu wieczorami, zwłaszcza w dni słotne, i rozprawiają o wydarzeniach na świecie, o potrzebach gminy, czy gromady. Zaś scalone grunty tworzą znaczne przestrzenie, wolne od wszelkich budynków i ludzkich osiedli, gdzie zwierzyna znajduje znakomite warunki bytowania, gdzie nawet dropie znajdują możliwości istnienia, ptaki, o których wiadomo, że spotykane są tylko na wielkich, wolnych przestrzeniach, jaknajmniej przez człowieka uczęszczanych. No i dziatwa wiejska już nietylko ze szkoły ale z domu wynosi poczucie ochraniania cudzego mienia, cudzego dobra i cudzego życia. Tam zwierzyna na polach i w lasach jest mieniem wspólnem, wspólne przynosząca korzyści w wysokich czynszach dzierżawnych za polowanie oraz za pomoc w wykonywaniu polowania. To wspólne dobro jest przez mieszkańców wspólnemi siłami ochraniane. Podobno wyjątkowe przepisy dla ochrony ptactwa wszelakiego nie są potrzebne, kultura pielęgnowana w rodzinie i szkole wystarcza.

A u nas? Co do stopnia kultury w odniesieniu do ochrony mienia, dobra i życia w najszerszym zakresie wolę się nie rozwodzić, inni to lepiej znają, zwłaszcza panujące w tej dziedzinie stosunki na wsi. Również nie tutaj miejsce na rozważania komu zależało na utrudnianiu współżycia ludzi wiejskich wobec scalania gruntów, przez jednoczesne rozbijanie wsi polskiej na poszczególne osady; komu zależało, aby dziecko wiejskie koniecznie musiało biegać kilometrami do szkoły, chociaż ona zasadniczo będzie się znajdowała w „scalonej" wsi; — aby gospodarz na gawędę sąsiedzką musiał brnąć setki metrów do najbliższego sąsiada, co przy słotnych wieczorach jesiennych, kiedy wieśniak najwięcej wolnym czasem rozporządza, do rozkoszy nie należy. Może działały względy... na rozwój radjofonji we wsi, aby gospodarz, mając jeżeli nie uniemożliwione, to utrudnione pożycie sąsiedzkie, koniecznie zaopatrzył się w radjo. Mniejsza z tem. Mnie obchodzi tylko to, że rozbita na dziesiątki poszczególnych zagród wieś polska, ta „scalona", wywołuje gwałtowne zmniejszanie się na gruntach scalonych wszelkiego zwierzostanu, tak łownego, jak i niełownego, poza wroną, sroką, gawronem i wróblem, co zresztą może mieć poważne znaczenie w niedalekiej przyszłości. Są to bowiem ptaki, które łaskawie, narazie przynajmniej, zostały przez grupę instytucyj i stowarzyszeń, o których mowa w artykule p. Garczyńskiego w numerze „Łowca P." z dn. 15 stycznia r. b., zaliczone, ochroniarskie względy mając na uwadze, do grupy ptaków „łownych", niechronionych. Może więc w przyszłości, trzeba będzie dla uświetnienia rozkładu bardziej reprezentacyjnych łowów (przy zwykłych koszty byłyby niewspółmierne) nałapać w najbliższym mieście wróbli domowych, myśliwych przed śniadaniem, koniecznie przed śniadaniem — poustawiać w koło, twarzami na zewnątrz, a ze środka koła będzie się potrochu z worków wypuszczać wróble. Wzory bardziej szczegółowe nadeślą nam za niewielką opłatą Francuzi z polowań na domowe króliki.

Otóż gdyby skądinąd niezwykle pożyteczne objawy zaciekawiania się szerszych, pozałowieckich zastępów obywateli Rzplitej warunkami bytowania ptactwa i zwierza wszelakiego zostały skierowane we właściwym kierunku, pozostawiając sprawę na co i kiedy polować uznaniu Polskiego Związku Łowieckiego, którego członkowie mogą się wykazać tak znakomitemi wynikami w utrzymaniu i rozmnoży zanikających gatunków ptaków i zwierząt, to zapewne wysiłki takie winny przynosić wiele korzyści. Przecież np. pomiędzy instytucjami, podpisanemi w przedłożeniu ochroniarskiem, do P. Z. Ł. skierowanem, widać podpis Warszawskiej Izby Rolniczej, względnie któregoś z jej oddziałów, co nie zmienia postaci rzeczy. Możeby tak instytucja ta, jeżeli jej inne względy nie przemawiają do przekonania, chociażby dla ochrony ptactwa wpłynęła, a przynajmniej usiłowała wpływać, na zmianę zasady rozbijania wsi polskich przy scalaniu gruntów.

A jeszcze bardziej będzie pożytecznem, kiedy Polski Związek Łowiecki osiągnie wreszcie pełny samorząd w dziedzinie łowiectwa. Polscy myśliwi z całkowitym spokojem przyjmą odpowiedzialność za całokształt gospodarki żywemi darami przyrody i dadzą pełną rękojmię nietylko dzisiejszym ale i następnym pokoleniem co do zachowania istniejących gatunków w stanie niegorszym od obecnego.

Oby to nastąpiło jaknajprędzej!

JERZY BŁESZYŃSKI.

BIAŁA BIEGUNKA, JAKO CHOROBA ZAKAŹNA BAŻANTÓW

Podając do wiadomości ogółu hodowców bażantów niniejszy artykuł, pragnąłbym, aby posłużył on jako ostrzeżenie przy zakupie zarówno jaj wylęgowych, jak i bażantów przeznaczonych do dalszej hodowli, gdyż system obecny bezkrytycznego odnoszenia się do zakupów godzi nietylko we własny interes nabywców, ale naraża na wielkie niebezpieczeństwo wogóle naszą krajową hodowlę bażantów, tak pięknie w ostatnich latach się rozwijającą.

Przypadek zdarzył, że, będąc długoletnim i w związku z tem, zdawałoby się, doświadczonym hodowcą bażantów, natknąłem się tego roku na chorobę, z którą nie mogłem sobie dać rady. Dotyczyło to lęgów z jajek sprowadzonych z trzech bardzo odległych od siebie miejscowości.

Przedewszystkiem zastanawiał mnie znaczny procent jajek zalęgniętych, w których zalążki zamarły przed wylęgnięciem i czego żadną miarą nie można było tłomaczyć zaziębieniem jajek, gdyż nasiadki siedziały doskonale, gniazda zrobione były prawidłowo, bez nadmiaru podkładanych jajek, do których to szczegółów przywiązuję zawsze dużą wagę. Niektóre z wylęgniętych piskląt były tak słabe, że zaraz po wylęgnięciu padały. Inne napozór, zdawało się, były jaknajzdrowsze i żwawe, lecz już po upływie trzech dni opuszczały skrzydełka, zdradzały brak apetytu, trzymały się na uboczu i stały śpiąc, z opuszczonemi łebkami. Po upływie dalszych 2 — 3 dni dostawały paraliżu i padały. Sekcja dokonana przeze mnie wykazała u wszystkich bez wyjątku piskląt duże plamy żółtego koloru na wątrobie, kiszki wypełnione wodnistym, cuchnącym kałem, który do tego stopnia zalepiał odbyt, że oddawanie kału było już niemożliwe.

Wyżej opisane objawy dotyczyły piskląt wylęgniętych z jajek, pochodzących z jednego źródła. Bażanciki z pozostałych źródeł były jaknajzdrowsze.

Po stwierdzeniu tych faktów nie ulegało dla mnie żadnej wątpliwości, że mam do czynienia z jakąś nieznaną mi chorobą zakaźną, więc po natychmiastowem odłączeniu wszelkich sztuk chorych i podejrzanych, oraz po przeprowadzeniu gruntownej dezynfekcji pomieszczeń i naczyń do karmienia, postanowiłem dokonać badań bakterjologicznych, z czem udałem się, jak zwykle w takich razach, do Zakładu bakterjologji Wydziału Weterynaryjnego Uniwersytetu Warszawskiego, gdzie odbyłem konferencję z doktorami Domańskim i Brillem. Obaj, po wysłuchaniu mojej relacji z przebiegu choroby i dokonanej sekcji i po obejrzeniu dostarczonych pięciu sztuk bażancików padłych, oświadczyli mi, że niewątpliwie zachodzi tu wypadek tak zwanej „białej biegunki piskląt", co prawdopodobnie badania bakterjologiczne potwierdzą.

Aby przekonać mnie, jak dalece choroba ta jest niebezpieczną, otrzymałem w upominku od Dra Brilla broszurę, traktującą specjalnie tę chorobę. Oto wyjątki z tej broszury:

W 1900 roku badacz amerykański Rettger opisał chorobę zakaźną piskląt kilkodniowych, charakteryzującą się klinicznie w pierwszym rzędzie objawem „białej biegunki". Artykuł Rettgera ukazał się w New-York Medical Journal i nosił tytuł *„Septicaemia among yong chikens"*. Rettger wspólnie z Harvey'em w 1908 r. udowodnili, że przyczyną białej biegunki jest pałeczka gazotwórcza, którą nazwali *bact. pullorum* (pullus = pisklę). Schorzenie wywołane przez *bact. pullorum* przeszło do piśmiennictwa angielskiego pod nazwą *„white diarrhoea"*, w piśmiennictwie polskiem przyjęła się nazwa: biała biegunka piskląt.

Rettger i Harvey stwierdzili również, że *bact. pullorum* przenosi się na potomstwo drogą germinatywną, co objawia się schorzeniem piskląt natychmiast po wykluciu, względnie także obumieraniem zarodka w czasie wylęgu. Wspólnie z Kirpatryck'iem i ze Stoneburn'em (1912) stwierdził Rettger, że zakażeniu mogą uledz w ciągu pierwszych dni życia pisklęta zdrowe przez zakażenie kałem piskląt chorych.



Z woljerowej hodowli bażantów p. St. Kamockiego

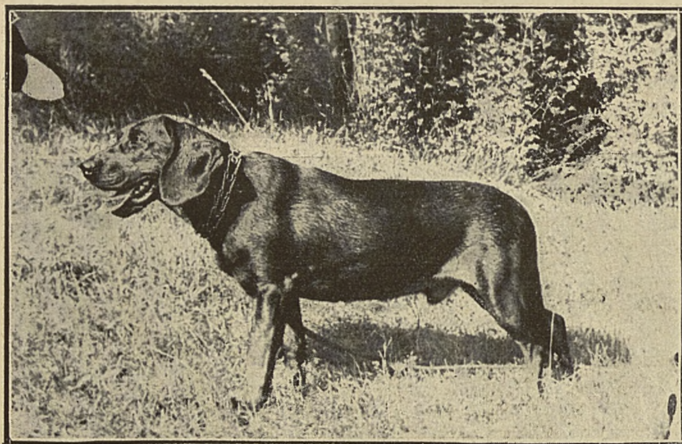
Prócz tego Jones (1911) udowodnił, że kury wyrosłe z piskląt, pochodzących ze środowiska, w którem panowała biegunka biała, bardzo często w jajnikach noszą zarazek białej biegunki. W ten sposób wyjaśniony został cykl białej biegunki piskląt w stadzie.

W zależności od tego, czy pisklę pochodzi z zakażonego jaja, czy też zaraziło się już po urodzeniu, zachodzi wyraźna różnica w przebiegu białej biegunki w powyższych dwóch wypadkach. Pisklęta z lęgu zakażonego przychodzą na świat często z objawami choroby. Widzimy wówczas rzadki zielonkawy kał, pojedyńcze pisklęta giną już w kilka godzin po wykluciu, przyczem stwierdzić można czasami zapalenie osierdzia. Większość jednak piskląt, wyklutych z zakażonego lęgu, ginie na drugi lub trzeci dzień. Pisklęta zarażone po urodzeniu zaczynają ginąć nieco później, najczęściej w pierwszych dwóch tygodniach życia. Zarażają się też pisklęta starsze. U piskląt pozostających przy życiu biegunka powoli ustępuje, na sekcji jednak dają się stwierdzić liczne drobne ogniska zapalne w tkankach organizmu. Możemy zatem rozróżnić przebieg białej biegunki ostry i przewlekły.

Według Heelsbergena obserwujemy następujące objawy u piskląt chorych na białą biegunkę: brak apetytu, apatyczność, opuszczenie skrzydeł, często odchody rzadkie, koloru brunatno-białego, albo zielonkawego. Odchody te zalepiają odbyt, utrudniając tem samem dalsze oddawanie kału. Kloaka wypełniona jest płynem szaro - białym, wodnistym, cuchnącym. Pi-

sklęta zdradzają objawy duszności. Często ziewają, siedzą skulone, z zamkniętemi oczami i wśród objawów pewnego rodzaju śpiączki giną. Przebieg epizootji bywa rozmaity, w zależności od tego, jaki był procent piskląt pochodzących z zakażonych jaj, a następnie w zależności od możliwości szerzenia się epizootji w stadzie, co w pierwszym rzędzie zależy od warunków chowu.

Początkowo sądzono, że wyodrębnione przez Rettgera *bact. pullorum* jest tylko chorobotwórcze dla piskląt, ale już w 1912 r. Jones stwierdza, że drobnoustrój ten może wywołać również śmiertelne schorzenia pomiędzy dorosłemi kurami.



„Rex", posokowiec z hodowli Dra Ossowskiego, własność p. W. Bakierowskiego

Bakterjologją białej biegunki zajął się szczegółowo Hadley i jego współpracownicy Elkins i Caldwell (1918). Autorzy rozróżnili dwa typy *bact. pullorum*, a mianowicie szczepy „A" wytwarzające gaz i szczepy „B" nie wytwarzające gazu. Hadley i jego współpracownicy stwierdzili, że szczepy *pullorum* nie wytwarzające gazu mogą być u dorosłych kur przyczyną schorzeń, przebiegających czasem nawet epizootycznie, podobnych do epizootyj, które wywołuje pałeczka tyfusu drobiu *(bact. gallinarum)*.

Biała biegunka piskląt, znana początkowo tylko w Ameryce, stała się także w Europie jedną z najgroźniejszych klęsk hodowli drobiu. Według informacyj zebranych na konferencji inspektorów hodowli Izb Rolniczych, pierwsze przypadki białej biegunki zanotowano w Polsce w latach 1928/29, w związku z materjałem zarodowym, sprowadzonym z Danji i z Niemiec w postaci jaj i kogutów. Jaką drogą uległy tej zarazie u nas bażanty, trudno dzisiaj stwierdzić. Choroba mogła się przenieść na bażanty przez chore kurynasiadki, przez sprowadzenie chorych bażantów dla odświeżenia krwi, bądź też przez sprowadzenie zakażonych jaj wylęgowych. Jak dalece chorobą tą objęte są nasze bażantarnie, trudno orzec — o ile to mnie dotyczy, stwierdziłem istnienie jej w jednej z bażantarń w poznańskiem województwie. Że jednak bażanty mają pewną skłonność do dalszych wędrówek, niewątpliwie więc takich zakażonych bażantarń mamy już w Polsce wiele, z czego powinniśmy wysnuć odpowiednie wnioski.

Hodowla bażantów zbyt ważną zajmuje pozycję w naszej gospodarce łowieckiej, byśmy mogli ją lekceważyć. Bażantów żywych dla celów hodowlanych wysyłamy rocznie zagranicę kilkanaście tysięcy sztuk, przeważnie samych kur, co aby osiągnąć, trzeba dysponować dwukrotnie większą ilością bażantów, z których koguty pozostają w kraju na odstrzał. Ogólne wpływy ze sprzedaży bażantów żywych, bitych i jaj wylęgowych sięgają u nas około 300.000 złotych. Są to wyniki już bardzo ładne, pomimo że hodowla bażantów jest u nas jeszcze w powijakach. Z powyższego jasno wynika, że nie wolno nam przechodzić do porządku dziennego nad niebezpieczeństwami, jakie hodowli bażantów u nas zagrażają w postaci chorób zakaźnych. Dzisiejszy stan wiedzy pozwala w zupełności, by z wszelkiemi chorobami zakaźnemi toczyć skuteczną walkę, ale warunkiem koniecznym jest, by to było połączone jednocześnie ze zrozumieniem i dobrą wolą samych hodowców.

Jakież środki należałoby przedsięwziąć?

Bażantarnie mamy dwojakiego rodzaju: takie, gdzie bażanty hoduje się „na dziko", oraz takie, gdzie równolegle do hodowli „na dziko" prowadzi się hodowlę woljerową, jako pomocniczą. W obu wypadkach właściciele bażantarń powinni przedewszystkiem sami się przekonać, czy nie istnieje u nich przypadkiem jakaś choroba zakaźna. Sposób na to jest prosty. W bażantarniach prowadzonych na dziko należy schwytać na jesieni lub w zimie możliwie największą ilość bażantów, niemniej jednak, jak jakieś 10 do 20% ogólnej posiadanej ilości, w bażantarniach z hodowlą woljerową procent schwytanych bażantów wynosić może nawet pełne 100%. Schwytane w ten sposób bażanty poddać bakterjologicznemu zbadaniu krwi, której się bierze od każdej sztuki po kilka kropli z pod skrzydła. Bażanty muszą być w tym celu przynajmniej czasowo zaobrączkowane aluminiowemi obrączkami z numerami. Numery na obrączkach powinny odpowiadać ponumerowanym próbkom pobranej krwi. W ten sposób będziemy mieli 100% pewności które bażanty i na jaką chorobę o charakterze zakaźnym są chore i takie oczywiście powinny być natychmiast zabite. Koszty z tem związane nie są tak przerażająco duże, a znikome, można powiedzieć, w stosunku do korzyści i absolutnej pewności, jaką się pozyskuje. Wedle informacyj udzielonych mi przez Dra Domańskiego, koszt pobrania i zbadania krwi n. p. od 30 sztuk, bo tyle można dziennie pobrać próbek, wyniósłby około 20 do 30 gr. od sztuki, do czego dochodzą koszty przejazdu w obie strony delegowanego przez Instytut Weterynaryjny lekarza weterynarji.

Mając bażanty, których zdrowie zostało ponad wszelką wątpliwość stwierdzone, można je wtedy z czystem sumieniem innym hodowcom sprzedawać i nietylko same bażanty, ale i jajka od nich.

Ponieważ, jak zaznaczyłem, przy hodowli woljerowej to sprawdzanie stanu zdrowia może być łatwiejsze i o wiele dokładniejsze, przezorniej byłoby kupować jajka wylęgowe wyłącznie woljerowe i to z takich hodowli tylko, które będą mogły się wykazać zaświadczeniami, że pozostają pod stałą kontrolą weterynaryjną Instytutu Weterynarji, lub innych równorzędnych instytucyj.

Pamiętać należy, że przy hodowli woljerowej bażantów wszelkie nasiadki powinny być również poddawane uprzednio zbadaniu krwi, by nie dopuścić do przenoszenia tą drogą wszelkich zarazków.

Inż. STANISŁAW KAMOCKI



Czoło pochodu z katedry św. Jana w Warszawie podczas zjazdu Bractw Strzelców Kurkowych z różnych dzielnic kraju z okazji 525-lecia Bractwa Strzelców Kurkowych w Warszawie. Na pierwszym planie cechy, w głębi grupa braci ze Lwowa.

Fot. St. Sołtys

JUBILEUSZ BRACTWA STRZELCÓW KURKOWYCH W WARSZAWIE

W dniach 25 — 27 czerwca Bractwo Warszawskie obchodziło trzy rocznice: 525-lecie swego powstania, 400-lecie najstarszego, znanego nam dotychczas przywileju króla kurkowego, wreszcie 20-lecie wskrzeszenia Bractwa po 125 latach niewoli.

Nietyle jednak ma znaczenia zbieg tych dat, jak ciągłość tradycji, trwałe jej zachowanie w ciągu wieków oraz uprzytomnienie jej sobie i współczesnym w chwili, gdy znajomość władania bronią i umiejętność strzelania może wyjść poza granice ćwiczeń i sportu, oraz przyczynić się do obrony państwa i stolicy. To zadanie bowiem było przekazywane z pokolenia w pokolenie dawnych konfraterni łuczników i zostało podjęte nanowo przez obecne Bractwo Strzelców Kurkowych.

Świadczy o tem historja tych bractw, które przynajmniej częściowo zdołały zachować swoje wilkierze (ustawy), ich zatwierdzenia przez królów i zarządy miejskie, przywileje i nadania wzamian za stale powtarzające się orędzia królewskie, począwszy od Kazimierza Jagiellończyka, wzywające obywateli do pilnego ćwiczenia się w sztuce strzelania. Zależnie od epoki, ich bronią sportową były łuk, kusza, sztucer precyzyjny, ich bronią wojenną każdoczasowa strzelba palna, a nawet armata.

Polska i ludność jej jest państwem i narodem młodym. Gdy więc już w wieku X we Włoszech, Francji i Flandrji, w wieku zaś XI w Czechach i Niemczech miasta warowne posiadały swe samorządy i mieszczaństwo, które stowarzyszone w cechach i bractwach i wyćwiczone we władaniu bronią na murach i basztach stawiało skuteczny opór wrogowi zewnętrznemu oraz rodzimym możnowładcom i rycerzom-rabusiom, w Polsce istniały tylko nieliczne grodziska i kasztele, do których w razie najazdu chronił się okoliczny, podwładny lud wiejski, podczas gdy ogół rolników i pasterzy krył się w nieprzebytych puszczach i moczarach.

W Polsce dopiero po wielkiej wyprawie Mongołów (1245), wraz z napływem czeskich i niemieckich kolonistów, przekształcają się dawne osady wieśniacze, tulące się do okopów i palisad drewnianych grodów, na siedziby rzemiosła i handlu. Książęta i możnowładcy świeccy i duchowni, pragnąc ten lud przywiązać do siebie, nadają mu węższy lub szerszy samorząd na prawie polskiem lub magdeburskiem. Z tą chwilą zrzeszają się rzemieślnicy w cechy, celem obrony swych interesów zawodowych i niesienia wzajemnej pomocy.

Aby odpierać skutecznie zakusy wrogów zewnętrznych i wewnętrznych, cechy łuczników, płatnerzy, rusznikarzy, kuszników i mieczników, obytych z wyrobem broni, ćwiczą się w jej władaniu i w tym celu



Prezes B. S. K. w Warszawie, Wł. Hr. Sobański przemawia

tworzą bractwa strzeleckie, do których przyciągają jako „szkoły rycerskie" z biegiem czasu inne zrzeszenia. Wybrany przez zespół mieszczan burmistrz wraz z radcami tworzy radę starszych tej konfraterni, lub przynajmniej jest jej stałym opiekunem. Wraz z postępem organizacji zarząd miejski powierza bractwu oraz zjednoczonym w niem cechom obronę murów, utrzymania porządku i wartę nocną, z czego wywodzi się znak czujnego kura, zastępującego gęsi kapitolińskie, wzorowanego zaś na kogucie galijskim *). Nietylko jednak magistraty, ale również władcy dzielnicowi oraz królowie polscy zrozumieli szybko znaczenie zorganizowanego do obrony miast mieszczaństwa pod przywództwem bractw kurkowych. Zachęcając je do stałego wprawiania się w używaniu broni, wyznaczali nagrody dla najcelniejszego strzelca, który strąci z kuszy ptaka, umieszczonego na wysokiej żerdzi, nadawali im tereny do ćwiczeń, zwalniali od podatków i ceł i wyposażali w liczne przywileje. Bractwa znów wraz z cechami stawały odważnie na murach i odpierały skutecznie ataki Tatarów, Turków, Kozaków, Szwedów, Rosjan i hajdamaków, tworząc stałą i karną obronę miast, podczas gdy rycerstwo ciągnęło w pole. Z bractw rekrutowano później również piechurów i obsługę dział.

Na ziemiach polskich powstało pierwsze bractwo około r. 1250 w Świdnicy na Śląsku, które posiada wilkierz, potwierdzony w 1286 przez Bolka I; nieco później — w Krakowie, Lwowie, Poznaniu i Kaliszu, w połowie wieku XIV w Toruniu, w 1413 r. w Warszawie. Rozkwit miast i tem samem bractw strzeleckich uwydatnił się najsilniej w wiekach XV i XVI, szczególnie na ziemiach zachodnich, ale stare konfraternie przetrwały i najcięższe czasy następne, aż do rozbiorów, walcząc odważnie z zaborcami. Bracia kurkowi tworzyli kadry Jana Kilińskiego podczas insurekcji warszawskiej w r. 1794 i zgodnie z tradycją wytrwali do ostatniego na wieży Bernardynów, broniąc skutecznie dostępu Moskalom do zamku królewskiego.

*) Gallus jest równocześnie nazwą łacińską ludu pierwotnego Franków, jak i popularnego ptaka domowego, ich znaku symbolicznego. (Przyp. aut.).

Bractwa strzeleckie przetrwały w niewoli najlepiej w Krakowie i Lwowie, gdzie zachowały nawet w strojach kontusze i czamary, i utrzymały się pod zaborem pruskim, coprawda silnie germanizowane, natomiast o ciągłości ich pod caratem rosyjskim nie mogło być mowy. Wraz z wskrzeszeniem Rzeczypospolitej, pomni dawnej tradycji, tworzyli bracia straże obywatelskie w Wielkopolsce, walczyli w szeregach powstańców śląskich i przodowali obrońcom Lwowa. Gdy nawała bolszewików w r. 1920 runęła na Warszawę i pokazało się, że tysiące ochotników walczy i ginie bez znajomości broni palnej, powołano nanowo do życia dawną konfraternię łuczników, aby znów tworzyła kadry obrońców stolicy, wyćwiczonych w strzelaniu.

Przy zbiegu trzech dat: powstania, nadania pierwszego przywileju i wskrzeszenia Bractwa Strzelców Kurkowych w Warszawie, jego Zarząd, z prezesem Wł. hr. Sobańskim na czele, postanowił urządzić w dniach 25 — 27 czerwca uroczysty obchód jubileuszowy pod protektoratem Pana Prezydenta R. P. i Naczelnego Wodza, ofiarując równocześnie zastęp swych członków obytych z bronią i swą strzelnicę na usługi państwa i stolicy. Na zjazd zaproszono Zjednoczenie Kurkowych Bractw Strzeleckich R. P. z Poznania i 160 organizacyj bratnich, cechy i towarzystwa pokrewne z Warszawy, wreszcie utworzono Komitet Honorowy z protektorem Bractwa warszawskiego, generałem K. Sosnkowskim na czele.



Gen. Krok-Paszkowski przemawia

Uroczystości rozpoczęły się zbiórką na Kanonji delegacyj z pocztami sztandarowemi i nabożeństwem, odprawionem w archikatedrze przez J. E. ks. biskupa dra Szlagowskiego. Po przemówieniu, w którem dostojny celebrans podkreślił katolicki charakter i piękną tradycję bractw kurkowych, został przez niego poświęcony nowy sztandar Bractwa, przedstawiają-

cy z jednej strony obraz kura srebrnego z r. 1552, nadanego konfraterni przez magistrat Starej Warszawy, z drugiej M. B. Częstochowską i godło stolicy. Szczyt drzewca tworzy podobizna wspomnianego kura, ofiarowana Bractwu przez brata St. Reisinga.

Następnie odbył się barwny pochód delegacyj przez miasto. Szczególnie serdecznie witała liczna publiczność warszawska przedstawicieli Lwowa w barwnych kontuszach, braci z Pomorza, Poznańskiego i Śląska w ich charakterystycznych uniformach, wśród nich zaś delegacje z Poznania, Koźmina z garłaczami, Torunia, Chojnic i in. Podczas pochodu delegacje Zarządu Bractwa warszawskiego złożyły podpisy hołdownicze u grobu Nieznanego Żołnierza i w Belwederze, przekazując zamiast wieńców odpowiednie kwoty na F.O.N. Pochód przemaszerował z orkiestrą wojskową na czele Krak. Przedmieściem, Nowym Światem i Al. Jerozolimską do Elektr. Kolei Dojazdowej, która specjalnemi wagonami przewiozła przeszło 1000 uczestników na strzelnicę Bractwa w Szczęśliwicach.

Tutaj nastąpiła dekoracja zasłużonych członków Bractwa przez generała Krok-Paszkowskiego, reprezentanta Ministra S. Wojsk. i I Wiceministra, orderami: Polonia Restituta i Krzyża Zasługi, poczem przemówił prezes Wł. hr. Sobański, witając przedstawicieli władz, delegacje i gości. Podniósł przytem dwa momenty, ideowy i praktyczny, działalności tradycyjnej bractw kurkowych, których wspólnym wyrazem jest stałe pogotowie obronne państwa i stolicy. Zakończył okrzykiem na cześć Najjaśniejszej Rzeczypospolitej i Pana Prezydenta, powtórzonym gorąco przez zebranych. W imieniu Zjednoczenia zabrali następnie głos jego prezes brat St. Maciejewski i delegat z Koźmina. Po wbiciu gwoździ do sztandaru, którą to ceremonję rozpoczął generał Krok-Paszkowski, wręczył on go chorążemu Bractwa, bratu A. Regulskiemu. Gwoździe doręczyli Bractwu wysocy protektorzy, członkowie Komitetu Honorowego, cechy warszawskie, zarządy okręgów leszczyńskiego i ostrowskiego, liczne bractwa i goście — wśród nich niektóre ozdobne i artystyczne.

Z kolei odbyło się na bogato udekorowanej strzelnicy strzelanie do tarczy honorowej przez przedstawicieli wojska, władz miejskich i państwowych, prezesów Zjednoczenia i Bractwa warszawskiego, oraz króla kurkowego Bractwa na r. 1938, M. Nowaka. Oficjalne uroczystości zakończono lampką wina w sali gustownie przybranego lokalu klubowego, poczem rozpoczęło się strzelanie jubileuszowe oraz o godność króla kurkowego Warszawy i jubileuszowego.

Tegoż dnia zebrano się na wspólnej wieczerzy bratniej w restauracji „Cristal", gdzie przemawiali prezes Wł. hr. Sobański, wiceprezydent zarządu m. st. Warszawy dr. W. Graba-Łęcki, prezes Zjednoczenia St. Maciejewski, prezes bractwa toruńskiego, który zaprosił zebranych na kongres w r. 1940, delegat bractwa koźmińskiego i jako przedstawiciel prasy J. Gembiński. Następnie odczytano życzenia telegraficzne i listowne: szczególnie życzliwe od generała K. Sosnkowskiego, b. prezesa Bractwa generała J. Wroczyńskiego, zarządu Związku Oficerów Rezerwy, zarządu b. Ochotników Armji Polskiej, prezesów: Warsz. Tow. Cyklistów i cechu Fotografów, od okręgów i bractw i w. in. Prezes Zjednoczenia wręczył wkońcu dyplomy honorowe Bractwu warszawskiemu w ręce jego prezesa, członkowi honorowemu Bractwa T. Koszutskiemu i jego wiceprezesowi ppłk. drowi T. Sas Jaworskiemu.

Dalsze strzelania konkursowe trwały w dniach 26 i 27 czerwca, poczem nastąpiło uroczyste zakończenie zjazdu w klubie Bractwa. Rozpoczęła je abdykacja króla kurkowego na 1938 br. M. Nowaka, który wręczył insygnia królewskie prezesowi Bractwa. W. hr. Sobański udekorował niemi z kolei nowego króla na r. 1939, brata Janusza Markiewicza, powitanego głośnemi oklaskami. Rycerzami zostali brat strzelmistrz J. Leixner i brat K. Suchorzewski.



Grupa Koźmińska B. S. K.

Przy strzelaniu królewskiem obowiązywały trzy rodzaje broni: sztucer Aydt'a, karabin wojskowy i karabinek sportowy. Piękne nagrody, ufundowane przez Pana Prezydenta R. P., Naczelnego Wodza, Premjera, Prezydenta m. st. Warszawy, Starosty powiatowego, Zjednoczenie Kurkowych Bractw Strzeleckich, Bractwo warszawskie i jego członków Zarządu wraz z królem kurkowym, członka honorowego T. Koszutskiego, firmy warszawskie i przyjaciół Bractwa, były rozegrane w sposób następujący:

1. Tarcza Rzeczypospolitej o nagrodę Pana Prezydenta R. P. ze sztucera Aydt'a na 185 m dla zespołów: Poznań IV, Poznań V, Poznań II, Warszawa. Indywidualnie 1. S. Zygmaniak — Poznań II. N. Muszyński — Poznań, III. J. Leixner — Warszawa.

2. Tarcza Armji Polskiej o nagrodę Pana Marszałka Polski ze sztucera Aydta na 185 m. I. L. Panek — Oborniki, II. M. Pietrzyński — Poznań i III. A. Goebel — Warszawa.

3. Tarcza Pana Premjera gen. F. Sławoj-Składkowskiego z kb. sport. cal. 22 odl. 50 m. leżąc: I. J. Leixner — Warszawa, II. St. Nowicki — Warszawa, III. F. Nowak — Chorzów.

4. T a r c z a P a n a P r e z y d e n t a m. st. W a r s z a w y S. S t a r z y ń s k i e g o z kb. sport. cal. 22 odl. 50 m. leżąc: I. J. Leixner — Warszawa, II. St. Nowicki — Warszawa, III. M. Nowak — Warszawa.

5. T a r c z a P a n a S t a r o s t y P o w i a t o w e g o F. Godlewskiego z kb. sport. cal. 22 odl. 50 m. leżąc: I. M. Burska — Warszawa, II. M. Nowak — Warszawa, III. E. Nowicki— Warszawa.



Grupa Poznańska B. S. K.

6. T a r c z a 525-l e c i a B. S. K. — puhar srebrny — dar inż. K. Rotkela z kb. angielskiego odl. 100 m. leżąc: I. Hernes — Oborniki, II. Olbrycht, III. A. Auterhoff — Warszawa.

7) T a r c z a 400-l e c i a p r z y w i l e j u B. S. K. z kb. angielskiego odl. 100 m. klęcząc. I. K. Suchorzewski — Oborniki, II. T. Olbrycht, III. A. Auterhoff — Warszawa.

8) T a r c z a 20-l e c i a B. S. K. o nagrodę I-go króla kurkowego T. Koszutskiego z kb. angielskiego, odl. 100 m. stojąc. I. J. Hernes — Oborniki, II. T. Olbrycht, III. A. Auterhoff — Warszawa.

9) T a r c z a Z j e d n o c z e n i a Kur. Bractw Strzel. R. P. z sztuceru Aydt'a, odl. 185 m. stojąc: I. S. Zygmaniak — Poznań, II. W. Muszyński — Poznań, III. J. Grzybowski — Chojnice.

10) T a r c z a Z a r z ą d u B. S. K. w W a r s z a w i e o nagrodę I-go króla kurkowego T. Koszutskiego z pistoletu „Hi-Standard" cal. 22 odl. 20 m. I. K. Suchorzewski — Warszawa, II. J. Leixner — Warszawa, III. J. Markiewicz — Warszawa.

11) T a r c z a Z a r z ą d u B. S. K. w W a r s z a w i e o nagrodę wiceprezesa d-ra T. Sas-Jaworskiego z pistoletu dowolnego typu i kalibru odl. 20 m. I. K. Suchorzewski — Warszawa, II. K. Kosik — Warszawa, III. E. Kuliński — Warszawa.

13) T a r c z a P r e z e s a B. S. K. w W a r s z a w i e Wł. hr. Sobańskiego z pistoletu Colt cal. 38, odl. 20 m.: I. J. Leixner — Warszawa, II. K. Suchorzewski — Warszawa, III. J. Markiewicz — Warszawa.

13) T a r c z a K r ó l a K u r k o w e g o z r. 1938, M. Nowaka z kb. sport. odl. 50 m. leżąc: I. J. Markiewicz — Warszawa, II. M. Burska — Warszawa, III. M. Nowak — Warszawa.

14) T a r c z a p a m i ą t k o w a B. S. K. w W a r s z a w i e o nagrodę strzelmistrza J. Leixnera z kb sport. cal. 22, stojąc: I. J. Leixner — Warszawa, II. E. Kuliński — Warszawa, III. K. Suchorzewski — Warszawa.

15) T a r c z a P a m i ą t k o w a M i a s t a st. W a r s z a w y o nagrodę Gł. Księgarni Wojskowej z dowolnego pistoletu odl. 50 m.: I. F. Piwko — Siemianowice Śląskie, II. J. Leixner — Warszawa, III. J. Pawłowski — Poznań.

16) K r ó l K u r k o w y W a r s z a w s k i na 1939 r. ze sztuceru Audt'a kb. wojskowego i kb. sportowego: I. Janusz Markiewicz — Warszawa II. J. Leixner (I rycerz) — Warszawa, III. K. Suchorzewski (II rycerz) — Warszawa.

17) K r ó l J u b i l e u s z o w y z sztuceru Aydt'a, odl. 185 m.: I. M. Pogorzelski — Poznań II. S. Frydrychowicz (I rycerz) — Chojnice, III. M. Łukanowski (II rycerz) — Oborniki.

*

Bractwo Strzelców Kurkowych w Warszawie powstało nanowo i rozwijało się w szczególnie trudnych warunkach. Nić rozerwaną w r. 1794 trudno było nanowo nawiązać. W kołach mieszczańskich wezwania do wskrzeszenia dawnych tradycyj i zastosowania ich do zadań współczesnych z początku słaby tylko wywoływały oddźwięk. Dziś, gdy Bractwo liczy blisko 600 członków i zastępy ćwiczących na wzorowej strzelnicy w Szczęśliwicach coraz są liczniejsze, etap najtrudniejszy można uważać za przebyty. To też zaraz po ukończeniu uroczystości jubileuszowych Bractwo mogło podjąć akcję, nakazaną przez chwilę obecną.

W porozumieniu z władzami zostały podjęte kursy teoretyczne i praktyczne Obywatelskiej Służby Zastępczej. Ich zadaniem jest przygotowanie kadry instruktorów służby wartowniczej, mających zastąpić w danym wypadku roczniki młodsze, powołane na front. Tym sposobem Bractwo Strzelców Kurkowych, zgodnie ze swym statutem i tradycją, pełni wiernie służbę dla państwa i stolicy.

TADEUSZ SAS JAWORSKI

Od Administracji

CHCĄC UNIKNĄĆ REKLAMACYJ Z POWODU NIEOTRZYMYWANIA, BĄDŹ NIEREGULARNEGO DORĘCZANIA „ŁOWCA POLSKIEGO", PROSIMY SZ. PRENUMERATORÓW O NIEZWŁOCZNE PISEMNE ZAWIADAMIANIE ADMINISTRACJI O KAŻDEJ ZMIANIE ADRESU; PRZY PRZEKAZYWANIU PIENIĘDZY O PODAWANIE ICH PRZEZNACZENIA; PRZY ZAMAWIANIU PRENUMERATY — O PODAWANIE DOKŁADNYCH ADRESÓW; WRESZCIE O ZAWIADAMIANIE O KAŻDORAZOWEM NIEDORĘCZENIU PISMA PRZEZ POCZTĘ.



Grupa zawodników, uczestników XIV Narodowych Zawodów strzelecko-myśliwskich.

WRAŻENIA Z XIV NARODOWYCH ZAWODÓW STRZELECKO MYŚLIWSKICH

Ileż to już lat piszę na tem miejscu o tych zawodach — i o zawodach strzelecko-myśliwskich wogóle? Ano — siedem... Zżyłem się z tym sportem, lubię go, poważam jego głęboką ideę szerzenia wśród myśliwych sprawności w strzelaniu na usługi obronności kraju — mam wśród elity zawodników wielu sympatyków i przyjaciół, którym tem samem się odwdzięczam, i którzy wiedzą, że nie byłem nigdy stronny w swych sądach i uwagach. Oto moja legitymacja.

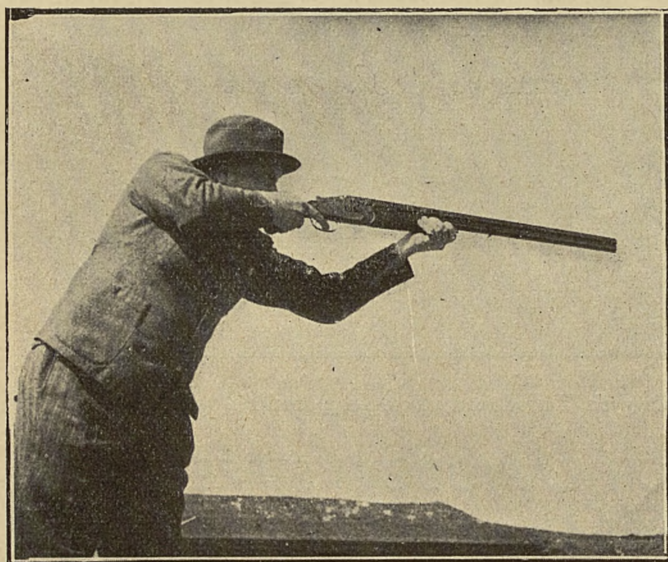
Podkreślam to publicznie dlatego jedynie, że po raz pierwszy przychodzi mi z przykrością, lecz z całą szczerością, wypowiedzieć coś, co odczuwam w pewnej mierze jako zawód osobisty, co nietylko zresztą we mnie wzbudziło przykre uczucia. Tak bowiem stało się jakoś tym razem, że ostatnie Narodowe zawody odbyły się pod znakiem waśni, niesubordynacji zawodników odnośnie do przepisów regulaminu, zgorzkniałych a bezpodstawnych pretensyj — objawów na standach gentlemańskich dotychczas w Polsce nader rzadkich. Ale co było może już kiedyś, w jakimś wyjątkowym wypadku, przed wielu laty, gdy sport ten u nas przybierać zaczynał dopiero właściwe oblicze, co stać się mogło wskutek niewyrobienia — dziś musi wywołać zasłużoną naganę i niesmak u ogółu.

Zacznijmy od tego, że gdy zaledwie 14 czerwca r. b. Polski Związek Łowiecki zgodził się przejąć na własność wybudowaną w r. 1936 strzelnicę rzutkową w Szczęśliwicach — musiano już myśleć o urządzeniu zawodów w dniach 7 — 9 lipca. Zdekompletowana w swoim czasie z różnych powodów Komisja Główna S. M., ledwie się nanowo odrodziła i ukonstytuowała, w bardzo szybkiem tempie musiała zająć się organizacją zawodów, nie mając wskutek tego czasu na różne czynności przygotowawcze, ze stroną prawną i administracyjną na strzelnicy związane (od 1-go sierpnia r. b. na życzenie P. Z. Ł. administrowanie strzelnicą obejmuje Warszawska Wojewódźka Rada Łowiecka), zaledwie nadążając ogłosić program zawodów, wydrukować dawniej przyjęty, a ostatnio przejrzany i poprawiony regulamin, porozsyłać zaproszenia, zgromadzić nagrody, ułatwić treningi...

Któż mógł przewidzieć, że w tych chaotycznych trochę warunkach, jakby chwilowego bezkrólewia na strzelnicy, znajdzie się ktoś z pośród zawodników, kto samowolnie, w ostatnich dniach zaprawy, bez porozumienia z Komisją Główną S. M., zmieni sprężyny u wyrzutni? I nb. zmieni na takie, które nie odpowiadają przystosowaniem do siły i konstrukcji maszyn — i że większość tych maszyn wskutek tego trzeba będzie w wigilję zawodów montować (umacniać) w podstawach, gdyż poza niedokładnością funkcjonowania — groziłyby kalectwem lub śmiercią obsłudze?! Gdy to ostatnie z konieczności zostało uskutecznione, to jednak brakło czasu i sposobów, by zmienić źle przystosowane (za silne) sprężyny.

Stąd ostatnie Narodowe zawody musiały się odbyć jakkolwiek, na los szczęścia.

A jakiż z tego praktycznie wyniknął skutek? Oto obniżone zostały najlepszych nawet zawodników wyniki o 10 — 15%! Rzecz jasna: za silne sprężyny pierwszego dnia rwały rzutki w sposób niesłychany. Zawodnik składał się z jednego stanowiska po 5 — 6 i więcej razy na pusto, aby wreszcie oddać strzał do „szalonego" rzutka, który „cudem" wyleciał z maszyny cały (a taki rzutek często dlatego wylatywał cały, że był za twardy i nie tak łatwo, nawet trafiony, dawał się rozbić). Dodajmy do tego szalony upał, co czyniło zawody poprostu ciężką pracą fizyczną. Czy w tych warunkach mogła być mowa o normalnem strzelaniu zawodników — co do ich psychicznego samopoczucia i co do efektywnych wyników?...



Mistrz Polski w strzelaniu do rzutków na r. 1939, p. Konstanty Koschembahr-Łyskowski

W drugim i trzecim dniu, po zastosowaniu pewnego, w granicach minimalnej możliwości, zwolnienia sprężyn, rzutki rzadziej były w chwili wyrzutu rozrywane, z tego powodu spokojniej szło samo strzelanie, lecz w istocie szybkość lotu rzutków pozostała, niepraktykowanie nigdzie na standach zagranicznych, zbyt wielka, co zasadniczo nie mogło wyników pierwszego dnia poprawić. Ktoś powie: „— Jakto! Mistrzostwo Polski zdobyte jest wynikiem 256/300 — a więc przy 44 pudłach? To skandal!" I pewnie głos taki nie pozbawiony będzie słuszności — jeśli zważyć choćby to tylko, że Mistrzostwo świata na trudnej niemieckiej strzelnicy w Wannsee zdobyte było przez p. Kiszkurnę w r. 1936 wynikiem 273/300, a zespołowe Mistrzostwo świata — przez naszą ekipę w r. 1938 w Luhacowicach — wynikiem 185/200, 184/200, 184/200 i 178/200. Wszak tam współzawodniczą niebylejakie tuzy! A tymczasem u siebie, w zaprawie do Mistrzostw Świata (na Narodowych zawodach) zwycięstwo osiągnięte jest przy tak niskim (j. w.) poziomie.

Przyczyniła się do tego samowola, o której należało powiedzieć publicznie — rehabilitując ambicję najlepszych naszych zawodników, zwycięzców wszechświatowych, a także podobną samowolę piętnując.

Ale nie na tem tylko skończyło się w dziedzinie samowoli i naprężenia całego sportowego nastroju na XIV Narodowych zawodach. Znaleźli się bowiem zawodnicy, którzy pozwalali sobie głośno — nietylko jako „galerja" w chwilach odpoczynku, ale nawet podczas strzelania na standzie — krytykować ostateczne orzeczenia trzech sędziów (z których dwóch stale jest wybieranych z pośród niestrzelających w danej serji zawodników) i zachowywać się... niesportowo.

Panowie, to nie piłka nożna w Falenicy lub Pikutkowie — o tem nie wolno nam zapominać, albo... zmienić sport przez siebie uprawiany. Z tem musimy skończyć raz na zawsze, jeżeli chcemy, by nasz sport strzelecko - myśliwski szanowano ogólnie i stawiano na pierwszem miejscu wśród sportów, o co mamy prawo się domagać. I tego naszego prawa nie pozwolimy przez lekceważenie, niesubordynację w odniesieniu do regulaminu i niesportowość jednostek zdyskwalifikować.

Przykry ten wstęp uważamy za konieczny, gdy w całym kraju coraz bardziej rozwija się strzelectwo rzutkowe, gdy zawody odbywają się pod firmą Związku, bądź centrali, czy też wojewódzkich lub powiatowych placówek i gdy zawodnicy są członkami Polskiego Związku Łowieckiego. Przykry ten wstęp musiał być wypowiedziany, jako kategoryczne ostrzeżenie na przyszłość dla wszystkich.

*

Jak wiadomo, w ostatecznych wynikach Mistrzostwo Polski zdobył wielce od szeregu lat zasłużony i świetny zawodnik, p. Konstanty Koschembahr-Łyskowski, który jednak nigdy dotąd nie miał szczęścia (a może i nadto jest „kłębkiem nerwów" poprostu!), a za nim kolejne miejsca zdobyli pp.: Kiszkurno i Ziegenhirte, obaj wypróbowani, rutynowani strzelcy standowi — wraz z p. Łyskowskim nasze najświetniejsze asy.

Warto dodać, że wszyscy trzej jeździli w końcu czerwca r. b. do Liège, gdzie odbywały się międzynarodowe zawody do rzutków i gołębi na standzie w Hornay. I tam pokazali lwi pazur Polacy. 25 czerwca p. Ziegenhirte zdobył w rzutkach pierwsze miejsce, p. Kiszkurno 3-cie w rozgrywce — przedziela ich zawodnik niemiecki Sack. Wszyscy trzej początkowo mieli wynik 49/50. P. Ziegenhirte wygrywa w rozgrywce, dodając do swego wyniku dalsze 29/30, czyli legitymując się 78 rzędowemi rzutkami. Dalej p. Kiszkurno zdobywa 26 czerwca wicemistrzostwo Belgji wynikiem 97/100 + 9/10 w rozgrywce, a potem jeszcze I miejsce w puli do gołębi, przy olbrzymiej konkurencji (sam strzelając do żywych gołębi na standzie po raz pierwszy), wynikiem 15/15. P. Łyskowskiemu w Belgji powodziło się nieco gorzej, ale — (widziałem ich wszystkich) — widać było, że był nieusposobiony. Narazie pocieszył się Mistrzostwem Polski, czego mu wszyscy, z kolegami-zawodnikami na czele, szczerze i gorąco winszowali, wyrażając z tego powodu swą niekłamaną radość.

*

A teraz jeszcze jedna sprawa: naboje, których używali ci trzej wyżej wymienieni zawodnicy. Zarówno w Belgji, jak i na Narodowych zawodach, były to nowe naboje Z. A. „Pocisk" S. A. „Olimpijskie". Cóż można o nich powiedzieć? Z całą bezstronnością, że są doskonałe. Precyzja i równomierność efektu strzałów na to wskazywały. Trzeba było wi-

dzieć, jak zabijane były w Liège przez naszych zawodników gołębie. Nie było wątpliwych: — a nuż trafiony ptak spadnie poza siatką, lub a nuż zdoła przeskoczyć ogrodzenie, gdy zbliży się po niego chłopiec-zbieracz. Gołębie ze strzałów naszych mistrzów padały, jak rażone piorunem, lub (rzadziej) szły nietknięte na wieczną wolność. To też nic dziwnego, że cały zapas nabojów, jaki pozostał naszym zawodnikom, został rozchwytany przez uczestników zawodów różnych narodowości. Zresztą niemiecki zawodnik Sack, niebylejaka strzelba, a także jeden z Węgrów, strzelali nawet w konkurencjach temi nabojami, widząc z nich wspaniałe efekty.

*

Wracając do ostatnich zawodów u nas, z obowiązku sprawozdawcy mam do zanotowania szereg innych szczegółów. Do zawodów stanęło pierwszego dnia 23 zawodników — do końca zawodów dotrwało tylko siedemnastu,... a i to z poświęceniem dla dobra sprawy, gdyż ani warunki, ani cały nastrój na tych zawodach nie mogły usposabiać zawodników dobrze.

Rozpatrując te i owe szczegóły, należy się parę słów wyjaśnienia o tem, dlaczego nie dokończył strzelania nawet w pierwszym dniu tak wypróbowany i rutynowany sportowiec, jakim jest senior mistrzów naszego strzelectwa myśliwskiego, P. bar. Stanisław Rosenwerth. Czuł się źle, nieusposobiony do tego stopnia, że nie władał bronią z tą nieodzowną sprawnością, bez której na zawodach niema co robić. To go skłoniło do wycofania się z konkurencji.

Młoda siła, rokująca jaknajlepsze nadzieje, p. Jerzy Feill, trzymający się na drugiem miejscu przez dwa dni, odsunął się na czwarte dnia trzeciego. Niepodobna tego niczem innem tłomaczyć, jak nerwami, bowiem talent, siły i zdrowie stoją u tego zawodnika na wysokim poziomie. Wartoby jednak było — z uwagi na dalszą przyszłość pod względem naszego udziału i naszych możliwych do osiągania zwycięstw w konkurencjach międzynarodowych — by p. J. Feilla delegowano przy najbliższej okazji (z początku jako siłę rezerwową) na mistrzostwa świata, choćby ze względu na otrzaskanie się tego zawodnika przyszłości z obcemi warunkami.

Wreszcie słów kilka o kuli. Strzelało mało zawodników. Mistrzem Polski (nie pierwszy raz) został kpt. Kazimierz Zaleski, znany strzelec kulowy, wicemistrzem — p. Ziegenhirte, jak widać wszechstronnie uzdolniony zawodnik.

*

Rozdanie nagród odbyło się w lokalu P. T. Ł. w dniu 9 lipca wieczorem, przy udziale mniejwięcej połowy zawodników i pań. Przemówienie wygłosił wiceprezes Komisji Głównej S. M., Dyr. Bohdan Gędziorowski, podkreślając radość z powodu zdobycia przez p. Łyskowskiego Mistrzostwa Polski, na co przez długie lata wytrwałego współzawodnictwa rzetelnie sobie zasłużył. Mówca podkreślił też zasługi w strzelectwie myśliwskiem wszystkich naszych mistrzów, zdobywców nagród międzynarodowych.

Życzyć należy na zakończenie odnowionej placówce strzelectwa myśliwskiego Związku, by szczęśliwie i pewną ręką poprowadziła swych wypróbowanych zawodników i nowe talenty ku dalszym sukcesom, które oby imię Polski rozgłosić mogły poza jej granicami w bieżącym roku i w dalszej przyszłości.

Żywić też trzeba nadzieję, że odnowiona Komisja Główna S. M., rozporządzając już teraz własną strzelnicą Polskiego Związku Łowieckiego, zatroszczy się o szkolenie kadr z pośród najmłodszych, o czem od dłuższego czasu myśli się poważnie, doceniając ważność tej sprawy na dalszą przyszłość, a co do czego uzyskano już w roku ubiegłym zapewnienie możliwie najdalej idącej pomocy od P. W. P. Pionki, poważnej propagatorki strzelectwa rzutkowego.

WŁADYSŁAW ZABIEŁŁO.

Z ŻAŁOBNEJ KARTY

Ś. P. STANISŁAW HR. ZAMOYSKI

W katastrofie samolotowej w czerwcu r. b., na polach dóbr Międzyrzeckich, zginął wraz ze ś. p. Janem Hr. Tyszkiewiczem, jako pilot-amator własnej awionetki, Stanisław Hr. Zamoyski, właściciel dóbr Trzebień-Magnuszew ziemi radomskiej.

Nie tak dawno, bo w lutym r. b., rozmawiałem z Nim na terenie Redakcji, a nieżyjący już dziś Pan Stanisław opowiadał mi wtedy z zapałem o swojem zainteresowaniu do powietrznych podróży, o tem jak z niecierpliwością oczekiwał ukończenia nauki pilotażu i jak nareszcie mógł po raz pierwszy wzbić się w wolne przestworza. Opowiadał mi także jaki to żart udało mu się zrobić na jednem z polowań na pędzone kuropatwy. Pożegnał się i odjechał, a na drugi dzień, niespodziewany przez nikogo — a przedtem gorąco zatrzymywany — zjawił się znowu wśród towarzyszy łowów „spadając wprost z nieba" opodal linji polujących, by wspólnie dokończyć polowania.

— Już teraz nie patrzę na samochód, wolę swoją awionetkę... Tylko jedno jest przykre, że trzeba doczekiwać wiosennej pogody, aby znów do późnej jesieni módz śmigać w przestworzach.

Nie sądził, iż tak fatalnie skończy się jego ulubiony sport, do którego tak się entuzjazmował... Zostawił mi wówczas szereg zdjęć fotograficznych swojej roboty dla „Łowca Polskiego", a w sztuce tej celował, umiejąc wychwytywać co najciekawsze sceny myśliwskie na wielkich polowaniach. Bezpośrednio po tej wizycie zamieściliśmy w „Łowcu Pol.", reprodukcję zdjęcia Zmarłego z przylotu na polowanie do Chrząstowa na awionetce, jesienią 1938 r., jak również Jego portretu z upolowaną w Trzebieniu kuną, o przebiegu tropienia której niezwykle obrazowo mi opowiedział.

Zawsze starałem się przekonać ś. p. Pana Stanisława, że powinien opisywać różne swe myśliwskie przeżycia. Odpowiadał stale, że nie ma na to czasu.

I rzeczywiście miał go bardzo niewiele. Zawsze czynny, niezmiernie obowiązkowy w swej pracy związanej z administrowaniem znacznemi dobrami, które odziedziczył w niezbyt kwitnącym stanie, potrafił wielką energją w realizowaniu zakreślonych planów postawić swój warsztat na wysokim poziomie zarówno w polu, lesie, jak i w gospodarce łowieckiej.

Wielki miłośnik przyrody, umysł niezwykle wnikliwy i subtelny zarazem, charakteru mocnego i energicznej ręki, był ś. p. Stanisław Zamoyski prawdziwie pożytecznym obywatelem-rolnikiem, leśnikiem i myśliwym-hodowcą.

Ze śmiercią Stanisława Zamoyskiego ziemia radomska utraciła jednego ze swych przodujących i wzorowych synów.

Cześć Jego pamięci!

WŁ. Z.

Zbrodnia i kara

Dwaj kłusownicy: Szymon Rusin i Józef Brydak, o których makabrycznej zbrodni pisałem w „Łowcu Polskim" Nr. 12 z dnia 15 czerwca r. b., stanęli wreszcie przed trybunałem Sądu Okręgowego w Rzeszowie w dniu 14 lipca br. na publicznej rozprawie.

Przewodniczący stawia pytania najpierw głównemu oskarżonemu, kilkakrotnie karanemu złodziejowi, Szymonowi Rusinowi, a następnie jego wspólnikowi — Józefowi Brydakowi, karanemu trzymiesięcznem więzieniem za kradzież. Rusin przyznaje się do uprawiania od lat trzech kłusownictwa z bronią, do posiadania leżącej na stole sędziowskim dubeltówki kurkowej i do strzelania z niej do zająca i rogacza, tudzież do obu strażników wieczorem dnia 11 maja r. b., podając na swoje usprawiedliwienie, że mu strzelba sama wypaliła — raz, gdy leżał na ziemi, a drugi, gdy się z niej podnosił... Okazało się później z zeznań świadka, Józefa Przybyły, że on pierwszy, oświetlony latarką, otrzymał w chwili, gdy się cofał — strzał w prawy bok i w plecy, a jego brat ś. p. Tomasz Przybyła — drugi strzał w głowę. Czy denat strzelał do kłusowników, tego nie zauważył, bo był przerażony i ciężko ranny. Możliwe, że oba strzały padły równocześnie — Tomasza Przybyły do Rusina i zranienie go śrutami w rękę i Rusina — do Tomasza Przybyły — z wynikiem śmiertelnym.

Józef Brydak przyznał, że oświetlił latarką obu wychodzących z lasu strażników i że Rusin do nich strzelał, potem on sam uciekł, przestraszywszy się takich strzałów!... Zaprzeczył jednak, jakoby kiedykolwiek posiadał broń palną, a z Rusinem wychodził do lasu na polowania li tylko z amatorstwa.

Starszy posterunkowy, Stanisław Kubiś, który obu kłusowników już tej samej nocy aresztował — Rusina, gdy ten spał w swojej chacie na strychu i u którego zauważył postrzał prawej ręki, Brydaka zaś w jego własnym domu — zeznał, że on pierwszy przeprowadził śledztwo na miejscu, skierowując odrazu podejrzenie na Rusina, jako na zawodowego kłusownika i że protokół śledztwa złożył sądowi. Podejrzenie okazało się trafnem, bo Rusin był świeżo ranny w prawą rękę i zranienie to stało się punktem wyjścia do dalszych dochodzeń. Brydak zeznał Kubisiowi, że Rusin przyszedł do niego o godz. 2-giej nad ranem krytycznej nocy i kazał mu schować rozebraną już na części strzelbę w stodole. Tam też znalazł ją stróż bezpieczeństwa. Ten fakt Brydak teraz potwierdza.

W dalszym ciągu rozprawy wyszło na jaw, że obaj kłusownicy, czatując na zwierzynę, usłyszeli kroki idących lasem w odległości 20 metrów obu strażników. Szli oni na światło, chybocące w polu. Kłusownicy, wiedząc zapewne dobrze o tem, że to idą strażnicy, postanowili ich zabić i dlatego, gdy tylko wyszli z lasu, oświetlił ich Brydak swoją latarką, a Rusin zaraz strzelił do nich dwa razy, bliższego Józefa Przybyłę, chcącego zawrócić, raził strzałem w plecy, dalszego — Tomasza Przybyłę w głowę. Siekańce przebiły jego czaszkę, uszkodziły mózg, powodując wylew krwi i śmierć po upływie kilkugodzinnej agonji. Wyjęte z czaszki w czasie sekcji zwłok dwa siekańce, znalazły się na stole sędziowskim wraz z innemi licami czynu, jak latarką elektryczną, dubeltówką i karabinem wojskowym.

Świadek Józef Przybyła, zeznał także, że Rusin — spędzony raz z pola, gdzie polował na kuropatwy, przez ś. p. Tomasza Przybyłę — odgrażał się zabiciem go.

W toku zeznań świadków dopuszcza przewodniczący do stawiania im pytań przez prokuratora, rzecznika poszkodowanego Józefa Przybyły i przez obu obrońców.

W pięknem przemówieniu, malującem dole i niedole leśników i piętnującem zbrodnie zaciekłych kłusowników, strzelających z premedytacją do wykonywających swą ciężką służbę strażników, żąda prokurator w konsekwencji dla Szymona Rusina najwyższego wymiaru kary, t. j. kary śmierci, przewidzianego w K. K., a dla Brydaka, jako wspólnika zbrodniarza, również kary bardzo wysokiej.

Po przemówieniach Dra Czaruka, który piętnował szczególnie kłusownictwo nocne, porównując je z rozbojami, obu obrońców i obu oskarżonych, którzy prosili o niski wymiar kary, zamknął przewodniczący postępowanie, a trybunał udał się na naradę.

Po upływie pół godziny trybunał sądowy ogłasza wyrok następujący:

Szymona Rusina skazuje się: 1) za usiłowanie zabójstwa Józefa Przybyły (artykuł 23 i 225 § 1 K. K.) na 15 lat więzienia, 2) za zabójstwo Tomasza Przybyły (art. 225 § 1 K .K.) na dożywotnie więzienie i utratę praw publicznych i obywatelskich na zawsze i 3) za kłusownictwo (art. 270 § 1 K. K.) na sześć miesięcy aresztu. Po myśli art. 31 K. K. skazuje się Szymona Rusina na łączną karę *dożywotniego więzienia* z utratą praw publicznych, obywatelskich i honorowych na zawsze.

Józefa Brydaka skazuje się: 1) za pomoc przy dokonaniu wspomnianej zbrodni usiłowanego i dokonanego zabójstwa na 10 lat więzienia (artykuły: 27 i 225 § 1 K. K.) i 2) za kłusownictwo (art. 270 § 1 K. K.) na 4 miesiące aresztu. W myśl art. 31 K. K. otrzymuje Józef Brydak łączną karę: *dziesięciu lat więzienia.*

Sąd Okręgowy zasądził nadto od obu oskarżonych solidarnie zapłacenie Józefowi Przybyle tytułem nawiązki za cierpienia fizyczne i moralne tysiąc zł. (1000 zł.), oraz 80 zł. tytułem kosztów sądowych.

I sprawiedliwości stało się zadość!

WŁADYSŁAW GÜRTLER

Tydzień borów Tucholskich

W czasie od dnia 13 do 20 sierpnia 1939 r. odbędzie się w Tucholi „Tydzień Borów Tucholskich".

W ramach tego Tygodnia urządza tutejsza Powiatowa Rada Łowiecka: a) pokaz trofeów łowieckich, b) pokaz psów myśliwskich, c) strzelanie do rzutków.

Pokazy trofeów i psów myśliwskich są regjonalne i odbędą się w Tucholi po raz pierwszy; na kresach zachodnich mają wielkie znaczenie propagandowe, wobec czego winni się temi pokazami zainteresować wszyscy myśliwi.

Pokaz trofeów zostanie otwarty w dniu 13 sierpnia o godz. 11.30; pokaz psów myśliwskich odbędzie się dnia 19 sierpnia o godz. 9-ej; strzelanie do rzutków — 19 sierpnia o godz. 14-ej.

Codziennie wycieczki autobusami, pojazdami i piesze w piękne Bory Tucholskie, jak do Piekła, Cisów i t. p.

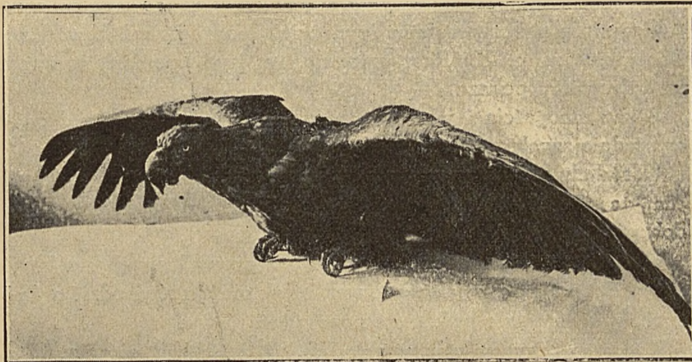
Spływ kajakowy Brdą od Woziwody do Piekła, przewóz kajaków do punktów startu na Brdzie samochodem ciężarowym, dostosowanym do jednoczesnego transportu 12 kajaków.

Uczestnikom „Tygodnia Borów Tucholskich' przysługuje zniżka kolejowa 50% („tam" opłata normalna — „powrót" bezpłatny) na podstawie karty uczestnictwa, którą można nabyć na wszystkich stacjach kolejowych i w placówkach „Orbisu" w cenie 1 zł. Karta uczestnictwa upoważnia do bezpłatnego zwiedzenia wystawy.

Noclegi zbiorowe po 50 gr. od osoby, pojedyncze do 2 zł. od osoby.

Dwa konkursy

Dwa pisma dla dzieci i młodzieży: „Dzwonki" i „Młody Polak", wydawane przez Stowarzyszenie Chrześcijańsko-Narodowego Nauczycielstwa Szkół Powszechnych (Warszawa, Chmielna 58) ogłosiły na swych łamach konkurs z nagrodami, który z uwagi na swą treść, jak również rodzaj nagród, stoi blisko z zainteresowaniem myśliwego.



Okaz orła karpackiego, ofiarowany przez Prof. F. A. Ossendowskiego. Fot. J. Ryś

„Dzwonki" tak się zwracają do swych miłych czytelników: „Napiszcie nam, jakie dzikie zwierzęta i ptaki żyją w naszej okolicy, jak wyglądają, jakie są ich obyczaje. A może, które z Was hodowało jakiegoś dzikiego ptaka lub zwierzę ssące? Może podpatrzyliście coś ciekawego z ich życia? Może spotkały Was z niemi jakie przygody? Jeśli mieszkacie nawet w większem mieście, też napewno znacie niektóre zwierzęta dzikie, ptaki, owady".

Podobne konkursy należy uznać za potrzebne i wielce wskazane. Uczą one patrzyć, obserwować, zaostrzać uwagę, każą młodziutkim umysłom zająć się ściślej niż dotąd pewną dziedziną, pewnem zagadnieniem, zainteresować się silniej życiem i zwyczajami stworzeń. Konkursy takie to doskonała zaprawa, to przedszkole, z którego wyjdą przyszli badacze przyrody, myśliwi-hodowcy.



Trofea myśliwskie Prof. F. A. Ossendowskiego. Fot. J. Ryś

Jako nagrodę, przeznaczono wspaniały okaz spreparowanego orła karpackiego, dar głośnego podróżnika i literata F. A. Ossendowskiego.

Treścią drugiego konkursu, ogłoszonego przez redakcję „Młodego Polaka" nie jest wprawdzie temat przyrodniczy, lecz dotyczący historji miasta i okolicy zamieszkałej przez młodzież, natomiast sześć nagród, ufundowanych przez wielkiego pisarza, który świat dziecięcy ukochał szczerze i gorąco, F. A. Ossendowskiego, to trofea myśliwskie. Należą do nich: 1) wypchana małpka szympansiczka, 2) czaszka hipopotama, który ważył 2 tony, 3) rogi wielkiej pasiastej antylopy, 4) skóra krokodyla z Nigru bez głowy, gdyż została odstrzelona, 5) jaszczurka agama, która uderzeniem ogona zwala człowieka z nóg, 6) czaszka dzika afrykańskiego.

Vivat sequens!

J. WŁ. KOBYLAŃSKI



Pół roku temu ukazała się na rynku księgarskim niewielka broszura napisana przez pana R o m a n a B o l k o p. t. *„A, b,c. tresury wyżła"*. Jest to odbitka z Nr 17—18 „Łowca" we Lwowie; stron 29.

Jest to jedna z nielicznych polskich prac kynologicznych. Aczkolwiek mała formatem i objętością, niemniej posiada ona wielką wartość dla początkujących treserów i posiadaczy psów. Nie jest to ciężki podręcznik, ale lekko napisana praca, ułatwiająca tresurę początkową.

*

Pracą niezmiernie ciekawą i pożyteczną z tej samej dziedziny jest niedawno wydana przez firmę wydawniczą Neumann-Neudamm, broszura dr. G. B o h n'a p. t. *Krankheiten des Jagdgebrauchshundes"*. Stron 72.

Wprawdzie niedawno, bo rok, czy dwa lata temu, ukazała się w „Łowcu Polskim" podobna praca dr. Łabędzia, niestety nie może się ona równać ze świeżo wydaną pracą niemieckiego autora. Nazwałem ją „pożyteczną", bo właściwie do dziś polska literatura łowiecka nie posiada tego rodzaju wydawnictwa.

Autor na wstępie swej pracy wskazuje jakie cechy znamionują dobrego i zdrowego psa myśliwskiego, następnie wykazuje wszystkie symptomaty różnych chorób. A więc wzrost temperatury, zmiana usposobienia, te rzeczy, które są niezmiernie ważne, będąc nieraz mało widocznemi, a które odrazu pozwalają wnioskować, że pies jest chory. W drugiej części tej broszury znajdujemy cały szereg wskazówek, według których umiemy określić chorobę, co jest niezmiernie doniosłe, jeśli chodzi o leczenie psa i co, mojem zdaniem, pozwoli niejednokrotnie na wyleczenie. Wiele bowiem psów rasowych i wartościowych ginie nie z braku troskliwości i opieki, ale wskutek lekceważenia nieznacznych objawów chorobowych oraz fałszywej djagnozy. Jeśli uważnie przeczytamy pracę dr. Bohn'a, potrafimy w wielu wypadkach uniknąć niezmiernie przykrego faktu, jakim bezwzględnie jest śmierć naszego wiernego towarzysza wypraw myśliwskich.

Wkońcu autor wylicza środki zapobiegawcze i lecznicze, stosowane przy leczeniu psów; zwraca przytem usilnie uwagę myśliwych, że w niektórych wypadkach leczenie psa w domu, bez pomocy weterynaryjnej, jest wprost niemożliwe. Dlatego też słusznie radzi w pierwszej fazie każdej poważniejszej choroby zwracać się do specjalisty, gdyż niejednokrotnie zwracanie się później, mimo wysiłków ze strony lekarza, nie da dodatnich rezultatów.

Praca dr. Bohn'a napisana jest jasno, prosto, pozwala każdemu posiadaczowi psa myśliwskiego na racjonalne stosowanie różnych środków zaradczych, a przedewszystkiem na umiejętne określenie symptomatów choroby. Dlatego też praca ta stanowi dla polskiego myśliwego wielką wartość. Należałoby ją w tłomaczeniu spopularyzować zarówno wśród naszych hodowców psów myśliwskich, jak i wśród myśliwych.

M. MNISZEK TCHORZNICKI.

Księga rejestracyjna 1932—1938 *Setter-Klubu w Polsce*. Str. 100.

Jest to pierwsze wydawnictwo tego rodzaju w dziedzinie kynologicznej, w dziale psów myśliwskich. Zawiera wynik pracy hodowlanej i rejestracyjnej w przeciągu lat 9-ciu i obejmuje dane o pochodzeniu 165 setterów, w tem 142 angielskich, 18 irlandzkich i 5 gordonów.

Słowo wstępne zawiera krótki przegląd historyczny tych ras, będących zarazem nawiązaniem pochodzenia obecnie zarejestrowanych psów do setterów hodowanych w Polsce dawniej. Spotykamy tam również nazwiska znanych hodowców przedwojennych, jak O. Saenger, Milewski i inni.

Słowo wstępne poprzedza lista skrótów kynologicznych, użytych w dalszej treści. Treść właściwą rozpoczyna „Wykaz zarejestrowanych przydomków hodowlanych" w liczbie 16-tu. Następnie podany jest alfabetyczny „Skorowidz zarejestrowanych psów", trzech odmian setterów. Dalej idzie „Wykaz zarejestrowanych setterów angielskich, irlandzkich i gordonów", obejmujący łącznie 165 numerów.

Część drugą księgi wypełniają „Rodowody wyróżnionych psów" ilustrowane 30-ma fotografjami.

W końcu, w dodatku („Suplement") zamieszczone zostały: „Statut stowarzyszenia pod nazwą: Setter Klub w Polsce", „Regulamin Księgi Rejestracyjnej Setter Klubu w Polsce", zakończony informacją o normach opłat rejestracyjnych.

Pożyteczne to wydawnictwo dokładnie i jasno orjentuje o dzisiejszym stanie rozwoju hodowli setterów w Polsce i stanowi zarazem dowód celowej a niezmordowanej pracy Zarządu Setter Klubu w Polsce, który pierwszy wystąpił z ogłoszeniem danych swej księgi rejestracyjnej, jak również najważniejszych rodowodów.

Należałoby się spodziewać bliskiego wydania podobnej publikacji „Pointer Klubu w Polsce" i „Klubu Hodowców Wyżła Niemieckiego". W każdym razie zarówno pod względem treści, jej układu, jak i szaty graficznej, „Księga Rejestracyjna Setter Klubu w Polsce" zasługuje na całkowite uznanie i służyć może za wzór przyszłym podobnym wydawnictwom.

WŁ. Z.

*

Jeden z numerów tygodnika wydawanego przez Światowy Związek Polaków z Zagranicy p. t. „Polska", poświęcony jest sprawie ochrony przyrody w Polsce. Autor powyższej pracy, Zbigniew Krygler, podaje dokładny i barwny opis Parków Narodowych, oraz niektórych rezerwatów florystycznych i faunistycznych.

Artykuł ilustrowany jest zdjęciami ze zbiorów inż. W. Puchalskiego, A. Wiśniewskiego i W. Wysockiego.

Ukazanie się tego numeru powitać należy z gorącem uznaniem, tembardziej, iż zadaniem pisma jest rozpowszechnianie wiadomości o kraju i wzbudzanie doń miłości, oraz zapoznawanie Polaków, rozproszonych po całym świecie, z bogactwami duchowemi i skarbami macierzy.

Autor wywiązał się ze swego zadania bardzo dobrze i wyczerpująco podał całokształt zagadnienia.

ALIKAR

Pokaz trofeów łowieckich w Kaliszu

Pokaz Trofeów Łowieckich został otwarty dnia 18.III. 1939 r. o godz. 12-ej w sali Oficerskiego Kasyna garnizonowego w Kaliszu.

Łowczy p. K. Raszewski powitał przybyłych na otwarcie pokazu oraz poprosił o otwarcie pokazu P. płk. Chłapowskiego, przewodniczącego Wojewódzkiej Rady Łowieckiej w Poznaniu i Łowczego Wojewódzkiego.

P. Prezes Chłapowski, określiwszy w krótkich słowach cel zorganizowania pokazu trofeów łowieckich, podziękował Łowczemu Powiatowemu p. K. Raszewskiemu za trud, poniesiony przy organizowaniu pokazu.

Pokaz mnogością i jakością eksponatów zadziwić musiał najwybredniejszych znawców.

Wśród eksponatów wyróżnia się nasz powiat kaliski, co stwierdza, że zwierzostan i łowiska w powiecie zaliczyć można do dobrych.

Wskutek racjonalności hodowli i przeprowadzonych selekcyj, poprawiono znacznie jakość łowisk i, jak można stwierdzić z danych, stan ten stale będzie się poprawiać.

Komisja oceny trofeów, w składzie PP. inż. Mrugasiewicza, Br. Tomasiewicza, nadleśn. Chmielewskiego i Przewłockiego, przyznała niżej wymienione oceny:

Złote medale otrzymali PP.: O. ks. Czartoryski za 6 rogaczy, Lipski z Górzna za stoisko, Dr. K. Wize za łopaty daniela, hr. Dunin za rogacza, Łowczy K. Raszewski za trzy mapy powiatu z zaznaczeniem siedziby zarz. Spółek Łowieckich, P. Puławski za dziki 2 złote medale. Potworowski za szable dzika, J. Müller za rogacza, Przewłocki 2 złote medale za 4 szable dzicze i stoisko, Jałowiecki za ilustrację, Wyganowski Wojciech dwa złote medale za wieńce jelenie i łopaty daniele, Wyganowski Stanisław dwa złote medale za szable dzików, Kuttner za kolekcję rogaczy, Mrugasiewicz inż. 5 złotych medali za rogacza, za obraz i za kolekcję selekcyjnych skór, za stoisko i za szable, Czapski dwa złote medale za 3 byki i rogacza, Sobaczyński Alf. za 2 byki, Lipski z Górzna za ptaki i rogacza 2 medale złote, Konradów Nadleśnictwo 3 medale złote za 2 wieńce, rogacza i daniele, Rychlewski za 2 obrazy, Serwa za czaszkę tura, Jędrzak za żórawia, Kryśkiewicz za rogacza, Nowaczkiewicz za kolekcję myłkusów i za rogacza dwa medale złote.

Pozatem srebrne i bronzowe medale otrzymali za różne wystawione eksponaty PP.: dr. K. Wize 1 srebrny, hr. Dunin 1 srebrny. Łowczy Raszewski K. 1 srebrny, Puławski 2 srebrne 1 bronzowy, Potworowski 1 srebrny, J. Müller 3 srebrne 1 bronzowy. Przewłocki 2 srebrne 4 bronzowe, Jałowiecki 2 srebrne 1 bronzowy. Wyganowski Wojciech 1 srebrny 2 bronzowe, Wyganowski Stanisław 2 srebrne, Kuttner 1 srebrny, inż. Mrugasiewicz 3 srebrne 1 bronzowy, Czapski 2 srebrne, Dr. Cichowicz 1 srebrny, Alf. Sobaczyński 1 srebrny, Lipski z Górzna 1 srebrny, Nadleśn. Konradów 3 srebrne, Ks. Lis 1 srebrny, Kubicki 3 srebrne, Prezes Serwa 1 srebrny 1 bronzowy, Jędrzak 1 srebrny, inż. Tomaszewski 4 srebrne 2 bronzowe, Kryśkiewicz 1 srebrny 1 bronzowy. Nowaczkiewicz 1 bronzowy, Donarski 1 srebrny 1 bronzowy.

MYŚLIWI
zbierajcie
wystrzelone
łuski na F.O.N.
i oddawajcie je Łowczym Powiatowym

Z POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO

DZIAŁ URZĘDOWY.

(Przedruk dozwolony tylko z powołaniem się na źródło).

PROTOKÓŁ WALNEGO ZGROMADZENIA POLSKIEGO ZWIĄZKU ŁOWIECKIEGO Z DNIA 18 CZERWCA 1939 R.

Lista obecności.

Z Naczelnej Rady Łowieckiej:

Prezes — Generał Broni Kazimierz Sosnkowski,

Wiceprezesi — Generał Dyw. Kazimierz Fabrycy, Tomasz Komierowski, Maurycy Hr. Potocki i Inż. Leopold Skulski.

Członkowie — Red. Walenty Garczyński, Kazimierz Kamieński, Inż. Herman Knothe, Dr. Jan Łukowicz, Michał Pawlikowski, Józef Skrzypek, Inż. Henryk Sosonko, Inż. Tadeusz Sroczyński, Andrzej Śliwiński i Kazimierz Świderski.

Prezesi Oddziałów: Białostockiego — Prok. Olgierd Stetkiewicz, Kieleckiego — Zygmunt Mrgr. Wielopolski, Krakowskiego — Dr. Adam Lardemer, Lubelskiego—Jan Koźmian, Łódzkiego — Józef Krauze, Małopolskiego — w/z Wiceprezes Dr. Stanisław Hr. Tyszkiewicz, Poleskiego — w/z Wiceprezes Józef Hołyński, Pomorskiego — Tomasz Komierowski, Śląskiego — Inż. Antoni Rowiński, Warszawskiego — Bohdan Gędziorowski, Wielkopolskiego — Konstanty Chłapowski, Wileńskiego — Benedykt Hr. Tyszkiewicz, Wołyńskiego — Roman Hr. Potocki.

Z Ministerstwa Rolnictwa i Reform Rolnych:

Radca Inż. Fabjan Wróblewski.

Z Dyrekcji Naczelnej Lasów Państwowych:

Dyr. Władysław Grzegorzewski.

Delegaci Walnych Zgromadzeń Wojewódzkich (Oddziałowych):

Białostockiego — Prok. Olgierd Stetkiewicz, Kieleckiego— Paweł Hr. Potocki i Inż. Leon Rudowski, Krakowskiego — Antoni Gebauer i Dr. Jan Robel, Lubelskiego — Leon Radliński i Mjr. Kornel Zawadzki, Łódzkiego — Józef Krauze, Małopolskiego — Inż. Stanisław Burzyński i Gen. Inż. Walery Maryański, Poleskiego — Józef Hołyński, Pomorskiego— Adw. Zygmunt Kurek i Dr. Inż. Leon Ossowski, Śląskiego — Stanisław Cenkier i Dr. Inż. Jan Podgórny, Warszawskiego — Bohdan Gędziorowski, Wielkopolskiego — Stanisław Kamocki, Adam Lossow, Kazimierz Raszewski i Dr. Krzysztof Wize, Wileńskiego — Juljan Laskowicz i Konrad Mackiewicz, Wołyńskiego — Dr. Sergjusz Doganowski i Stanisław Madeyski.

Z Komisji Rewizyjnej:

Inż. Antoni Fabjan, Andrzej Gdowski, Dr. Ignacy Gtymiński i Zbigniew Kowalski.

Z biura Związku:

Porządek dzienny:

1. Otwarcie obrad.
2. Wybór 4 asesorów i 2 sekretarzy.
3. Przyjęcie protokółu Walnego Zgromadzenia z dnia 16 stycznia r. 1938.
4. Sprawozdanie z działalności Naczelnej Rady Łowieckiej.
5. Sprawozdanie finansowe za rok 1938.
6. Sprawozdanie Komisji Rewizyjnej Związku.
7. Budżet na rok 1939.
8. Wybory uzupełniające do Naczelnej Rady Łowieckiej.
9. Wybór Komisji Rewizyjnej.
10. Wnioski.

Otworzył obrady P. Prezes Generał Broni Kazimierz Sosnkowski.

Na wstępie Pan Prezes stwierdził, że od czasu ostatniego Walnego Zgromadzenia, które odbyło się w styczniu roku ubiegłego, śmierć bezlitosna wyrwała znaczną szczerbę w szeregach Związku, zabierając wielu jego znakomitych i zasłużonych członków.

W roku 1938 zmarli Śp.:

Inż. Bolesław Świętorzecki, jeden z założycieli Związku, długoletni jego Wiceprezes, organizator i niestrudzony Prezes Oddziału Wileńskiego, odznaczony „Złomem", wybitny myśliwy i pisarz łowiecki, członek Komitetu Redakcyjnego „Łowca Polskiego",

Czesław Lisowski, długoletni członek Zarządu Związku, wybitny myśliwy i działacz społeczny, znakomity znawca przemysłu broniowego.

Zdzisław Kleszczyński, szlachetny myśliwy, wybitny pisarz, członek Komitetu Redakcyjnego „Łowca Polskiego",

Edmund Mickiewicz, wybitny myśliwy i działacz społeczny, dyrektor lasów państwowych Dyrekcji Warszawskiej,

oraz członkowie Stowarzyszeń Związkowych, prawi myśliwi:

Karol Frankowski, Karol Hawelka, Józef Hercik, Władysław Karsch, Wacław Komenda, Inż. Józef Łastowski, Mieczysław Pawluk, Dyrektor biura Senatu Adam Piasecki, Płk. Leon Szymanowski, Janina Ścibor-Marchocka;

w roku 1939 zmarli Śp.:

Dr. Stanisław Zaborowski, wybitny myśliwy i podróżnik, znakomity pisarz łowiecki, odznaczony „Złomem", członek Komitetu Redakcyjnego „Łowca Polskiego", ofiarodawca pięknych zbiorów łowieckich na rzecz Związku,

Mieczysław Tukałło, b. członek Zarządu Związku, długoletni, zasłużony Łowczy w powiecie Nowogródek, wybitny myśliwy, odznaczony Złotym Medalem Zasługi Łowieckiej,

Henryk Sokołowski, prawy myśliwy i obywatel, długoletni, zasłużony Łowczy w powiecie Nieszawa, jeden z najdzielniejszych Łowczych Związku, odznaczony Złotym Medalem Zasługi Łowieckiej,

Jerzy Ścigalski, prawy myśliwy, członek Komisji Rewizyjnej Związku,

Edward Hr. Mycielski, wybitny myśliwy i hodowca, Łowczy w powiecie Września,

Prof. Jan Gwalbert Pawlikowski, znakomity uczony i pisarz, wybitny myśliwy,

Dr Franciszek Kmietowicz, zamiłowany myśliwy, prezes Kółka Myśliwskiego w Krynicy,

Stanisław Hr. Zamoyski, szlachetny myśliwy i obywatel, b. Łowczy Związku w powiecie Kozienice.

Odczytywania tej smutnej listy zebrani wysłuchali stojąc.

Na wezwanie Pana Prezesa, Walne Zgromadzenie uczciło pamięć zmarłych członków minutową ciszą.

P. Prezes Generał Sosnkowski podkreślił następnie, że obrady Walnego Zgromadzenia przypadają w niezwykle doniosłej, szczególnie dla Narodu Polskiego, chwili dziejowej. Społeczeństwo polskie wykazuje pełną czujność i hart ducha, i ani zaskoczyć, ani sprowokować się nie da, a zachowując przytem spokój, równowagę i mocne nerwy, pragnie dać dowód, że i w takich warunkach potrafi prowadzić normalną pracę bieżącą.

Na wniosek Pana Prezesa, Walne Zgromadzenie uchwaliło przez aklamację wysłanie do Pana Prezydenta Rzeczypospolitej i do Naczelnego Wodza depesz treści następującej:

„Pan Prezydent Rzeczypospolitej Polskiej, Profesor Doktór Ignacy Mościcki,

Zamek, Warszawa.

Zebrani na Walnem Zgromadzeniu Polskiego Związku Łowieckiego przedstawiciele zorganizowanego świata łowieckiego wszystkich ziem Rzeczypospolitej składają Dostojnemu Protektorowi Łowiectwa wyrazy głębokiej czci oraz zapewnienia gotowości do wszelkich wysiłków i ofiar na rzecz obrony Państwa.

Prezydjum Walnego Zgromadzenia Polskiego Związku Łowieckiego".

„Pan Marszałek Polski Edward Śmigły Rydz

Warszawa.

Walne Zgromadzenie Polskiego Związku Łowieckiego, w imieniu zorganizowanego świata łowieckiego wszystkich ziem Polski, składa na Twoje ręce, Panie Marszałku, oświadczenie gotowości do wszelkich wysiłków i ofiar, do jakich w dziejowej chwili Twój rozkaz powołać nas może.

Prezydjum Walnego Zrogmadzenia Polskiego Związku Łowieckiego".

P. Prezes Generał Sosnkowski zaproponował wybór do Prezydjum Zgromadzenia P.P.: Prezesa Inż. Leopolda Skulskiego, Dr. Stanisława Hr. Tyszkiewicza — Wiceprezesa Oddziału Małopolskiego, Płk. Konstantego Chłapowskiego — Prezesa Oddziału Wielkopolskiego, Prok. Olgierda Stetkiewicza — Prezesa Oddziału Białostockiego i Inż. Antoniego Rowińskiego — Prezesa Oddziału Śląskiego, na Sekretarzy zaś — P.P.: Inż. Henryka Sosonko i Jerzego Bokiewicza.

Propozycję tę Walne Zgromadzenie przyjęło jednomyślnie.

Porządek obrad przyjęto bez zmian.

Protokół Walnego Zgromadzenia Związku z dnia 16 stycznia ponieważ zaś nie zostały zgłoszone żadne poprawki, czy uzupełnienia, protokół ten postanowiono zatwierdzić bez dyskusji.

Sprawozdanie z działalności Naczelnej Rady Łowieckiej referował — w zastępstwie chorego Przewodniczącego Komitetu Wykonawczego, Prof. Gieysztora — P. Dyr. Gędziorowski. Sprawozdanie to zamieszczone było w „Łowcu Polskim Nr. 11 z r.b., a nadto rozesłane w oddzielnej broszurze wraz ze sprawozdaniem finansowem i projektem budżetu — Oddziałom Związku.

P. Prezes Gen. Sosnkowski udzielił następnie głosu P. Red. Garczyńskiemu, który poinformował zebranych o przebiegu prac nad projektem noweli do prawa łowieckiego.

P. Garczyński otrzymał od Rady Naczelnej mandat do uzgodnienia z Ministerstwem Rolnictwa i Reform Rolnych w imieniu Związku projektu tej noweli, przyczem kierować się miał postulatami, zawartemi w projekcie, opracowanym przez Związkową Komisję Nowelizacyjnąą wespół z przedstawicielami Oddziałów. Ze strony Ministerstwa występowali P.P. Insp. Jagodziński i Dr. Swinarski, którzy w toku prowadzonych prac okazali całkowite zrozumienie dla postulatów Związku i jak najżyczliwiej do nich się ustosunkowali, za co obydwu wymienionym Panom należy się wdzięczność i uznanie. Nie wszystkie jednak postulaty Związku mogły być obronione, a trudności te powstały z zazębienia się przepisów prawa łowieckiego z innemi ustawami, jak np. z ustawami o postępowaniu karnem, o postępowaniu administracyjnem i innemi, w których odchylenia obowiązujących przepisów specjalnie dla łowiectwa wprowadzone być nie mogą. Z konieczności więc trzeba było pójść na ustępstwa, a nawet z niektórych spraw zrezygnować. Projekt, który został przez Ministerstwo opracowany i rozesłany wojewodom do opinji, zawiera wiele zmian korzystnych i ważnych, a ponieważ więcej uzyskać się nie da, nie należy projektu tego kwestjonować. W chwili obecnej prace na terenie Ministerstwa zostały przerwane, — P. Minister zażądał bowiem przedstawienia sobie projektu noweli i Ministerstwo rozważa sprawę wprowadzenia w nim pewnych zmian. Jakie będą dalsze losy tego projektu, przewidywać trudno.

Następca P. Dr. Swinarskiego na stanowisku Naczelnika Wydziału Leśnictwa, P. Dr. Piłat zapewnił przedstawicieli Związku, że o wznowieniu prac nad projektem Związek będzie powiadomiony i powołany do udziału w tych pracach.

Sprawozdanie finansowe referował Skarbnik Związku, P. Kamieński.

Bilans na dzień 31 grudnia r. 1938 zamyka się sumą zł. 47.000.31 i wykazuje nadwyżkę wpływów nad wydatkami w kwocie zł. 7.247,33. Z rachunku strat i zysków wynika, że suma obrotu Związku wraz z wydawnictwami „Łowiec Polski" i „Kalendarz Myśliwski" za rok 1938 — wynosiła zł. 114.754.71.

W imieniu Komisji Rewizyjnej Związku sprawozdanie z rewizji ksiąg i dowodów kasowych odczytał P. Kowalski, stawiając wniosek o udzielenie Naczelnej Radzie Łowieckiej absolutorium z jej czynności i o zatwierdzenie sprawozdania finansowego. P. Kowalski oświadczył nadto, że Komisja Rewizyjna z prawdziwą przyjemnością przyznaje się do błędu, jaki popełnia przez wyrażenie obawy co do realności budżetu na rok sprawozdawczy; budżet ten bowiem nietylko został wykonany, ale osiągnięta została nadwyżka, przekraczająca 7.000.— złotych, a nawet jeszcze wyższa, gdyż udzielane zniżki w prenumeracie „Łowca Polskiego" należy właściwie uznać również za zysk.

P. Prezes Generał Sosnkowski otworzył dyskusję nad sprawozdaniami.

P. Inż. Burzyński omawiał poszczególne części projektu noweli do prawa łowieckiego i wyraził pogląd, że projekt ten powinien być ponownie rozesłany wszystkim Oddziałom Związku, aby w ten sposób można było ustalić opinję całego łowiectwa, a nadto uwzględnić odmienne warunki poszczególnych części kraju.

P. Prezes Generał Sosnkowski podkreślił, że — jak dawny projekt noweli do prawa łowieckiego układany był w porozumieniu ze Związkiem — tak i obecnie Związek nie zaniedba starań, aby zorganizowany świat łowiecki miał możność wypowiedzenia swej opinji. Oczywiście, w sprawach, gdzie krzyżuje się tyle skomplikowanych zagadnień i interesów, zgóry trzeba uznać za rzecz jasną, iż nowa ustawa, jaka ujrzy światło dzienne, musi być do pewnego stopnia wynikiem kompromisu, nie będzie też stuprocentowym wyrazem tego, czego świat łowiecki pragnie. Tak dzieje się w każdej dziedzinie życia. Władze Związku jednak ponawiają zapewnienie, że w stosunku do żywotnych zagadnień i istotnych interesów łowiectwa — czujność ich nie osłabnie. Zdaniem Pana Prezesa, w myśl przysłowia „à quelque chose malheur est bon", im dłużej przeciąga się praca nad nowelizacją prawa łowieckiego, tem bardziej wzmaga się siła wewnętrzna Związku, jego formy organizacyjne napełniają się żywą treścią. Gdy polski świat łowiecki stanowić będzie realną siłę i złoży dowody, że do powszechnego zrzeszenia zbliża się na podstawie własnej propagandy i zrozumienia własnych obowiązków, co stanowić będzie o kulturze społeczeństwa łowieckiego, to pozycja nasza nazewnątrz znakomicie się umocni. Napewno wolelibyśmy, aby wszyscy myśliwi zrzeszyli się dobrowolnie, aniżeli w drodze przymusu. Według danych z terenu, nic nie uprawnia do przypuszczeń, aby odkładanie noweli powodowało odpływ członków. Utrzymanie pod

tym względem stanu posiadania i dalszy rozwój organizacji — zależy od jakości pracy i od korzyści, jakie praca ta daje.

P. Mackiewicz podziela pogląd Pana Prezesa, że zorganizowani myśliwi w terenie krzepną na siłach, niemniej jednak dość pesymistycznie zapatruje się na dalszy rozwój liczebny Związku. Ze sprawozdania wynika, że członków zwyczajnych Związek liczy 9.000, natomiast członków nadzwyczajnych, to jest tych którzy stanowić mają w przyszłości o rozwoju Związku, jest zaledwie 2.763. Powinno być odwrotnie. Rezerwy organizacji, które mają do niej napłynąć, powinny być liczniejsze. Przyczyną tego są ograniczone do pewnego stopnia prawa członka nadzwyczajnego. Jest to duża przeszkoda w rozwoju organizacji; należałoby zmienić odnośne postanowienia statutu. Przeszkodą w rozwoju organizacji w województwie nowogródzkiem jest pozatem brak tam odrębnego Oddziału Związku. Oddział Wileński, obejmujący swą działalnością województwa wileńskie i nowogródzkie, nie ma możności zająć się należycie województwem nowogródzkiem, którego powiaty w znacznej większości nie wykazują ciążenia ku Wilnu. Praca jest tam więc utrudniona i myśliwych ogarnia zniechęcenie. W województwie nowogródzkiem powinien być utworzony samoistny Oddział Związku. Naczelna Rada Łowiecka winna wziąć tę sprawę pod uwagę i załatwić ją w możliwie niedługim czasie. P. Mackiewicz wspomniał następnie o „Łowcu Polskim", wskazując na potrzebę wprowadzenia w nim pewnych zmian. Redakcja winna nadto zmienić ton polemiczny, jaki ujawnia się w niektórych enuncjacjach. Redakcja „Łowca Polskiego" nie jest żadną instancją organizacyjną, nie jest zatem powołana do wydawnia sądów, ani krytyki w stosunku do terenowych komórek organizacyjnych.

P. Prezes Generał Sosnkowski stwierdził, że kwestja uprawnień członków nadzwyczajnych dotyczy zmian statutu Związku. Konkretnego wniosku w tej kwestji nie zgłoszono, tem niemniej jest jeszcze czas na sformułowanie projektowanej poprawki. Naczelna Rada Łowiecka na wczorajszem posiedzeniu, wobec otrzymania szeregu wniosków o wprowadzenie zmian w statucie, zastanawiała się nad tą sprawą i doszła do przekonania, że zmienianie statutu w półtora zaledwie roku po jego przyjęciu — byłoby akcją przedwczesną, uchwaliła natomiast zebrać obszerniejszy materjał i zgłosić wnioski, dotyczące zmian statutu, na następne Walne Zgromadzenie. Podając stanowisko Rady Naczelnej do wiadomości Walnego Zgromadzenia, Pan Prezes podkreślił, że opinje w tej sprawie, oparte na obserwacjach z życia organizacyjnego w terenie, są ważne i cenne, i dlatego zwraca się z wezwaniem, aby Oddziały Związku materjał do zmian statutu gromadziły i wszelkie wnioski w tych sprawach kierowały do Komitetu Wykonawczego.

Druga kwestja, jaką poruszył P. Mackiewicz, dotyczy usamodzielnienia województwa nowogródzkiego przez utworzenie samoistnego Oddziału Związku. Pan Prezes stwierdził, że jest rzeczą aż nadto naturalną, iż nowe ramy organizacyjne coraz bardziej będą rozsadzały inne ramy, które przy reorganizacji Związku ze względów rzozumiałych uszanowano, mianowicie ramy tradycji. Właśnie na wczorajszem posiedzeniu Naczelnej Rady Łowieckiej nastąpił epilog ścierania się dwu sił na pewnym odcinku: z jednej strony — tradycja, która jest przecież niewątpliwie rzeczą cenną, z drugiej — tendencje, wynikające z potrzeb, stworzonych przez życie, z dążności do usamodzielnienia się. Na wczorajszem posiedzeniu Rada Naczelna uchwaliła utworzyć odrębny Oddział Związku dla województwa krakowskiego. Z całym naciskiem podkreślić należy, że uchwała Rady Naczelnej zapadła na podstawie zgodnego porozumienia się Małopolskiego Towarzystwa Łowieckiego z Oddziałem Krakowskim. Być może, że rozwój życia organizacyjnego na terenie województwa nowogródzkiego — doprowadzi do analogicznego wyniku. Chodzi tylko o to, aby zmiany podobne przynosiły światu łowieckiemu więcej korzyści, niż strat. Rada Naczelna, przed powzięciem decyzji, musi uwzględnić różnorodność poglądów i dlatego w sprawie wyodrębnienia województwa nowogródzkiego zażądała umotywowania wniosku i opinji wszystkich Powiatowych Rad Łowieckich tego województwa. Opinje te do dnia wczorajszego nie wpłynęły, trudno więc było powziąć w tej mierze uchwałę.

Jeśli chodzi o „Łowca Polskiego", to w tej sprawie wypowie się P. Red. Garczyński. Ze swej strony Pan Prezes wyraża przekonanie, że pewne ożywienie „Łowca Polskiego" wyszłoby na dobre i pismu i jego czytelnikom. Pożądanem byłoby rozszerzenie działu korespondencji z terenu.

P. Red. Garczyński zaznaczył, że redakcja „Łowca Polskiego" czuwa nad tonem i rzeczowością wypowiedzi. Łamy pisma jednak otwarte są dla wszystkich i trudno chować pewne poglądy pod korcem. Jeżeli zaś redakcja zabiera głos w kwestjach ogólno - łowieckich, to wypowiada ona to, co myśli, ale nie znaczy to, aby przybierała charakter instancji. Redakcja ma prawo i obowiązek do wypowiadania poglądów, oczywiście w granicach lojalności wobec Związku, którego „Łowiec Polski" jest organem. Tego prawa redakcja zrzecz się nie może.

P. Prezes Generał Sosnkowski podkreślił, że „Łowiec Polski" zawiera dział urzędowy i jeśli jakaś enuncjacja jest echem stanowiska Związku, to jest to wyraźnie zaznaczone. Nie można jednak ani redaktora, ani zespołu redakcyjnego pozbawiać prawa dyskusji lub zajmowania takiego lub innego stanowiska. Zasada ściślejszej łączności „Łowca Polskiego" z terenem obowiązuje obie strony, i redakcję i teren, który powinien zasilać łamy pisma. Jeśli chodzi o ton, w jakim prowadzone są polemiki w „Łowcu Polskim", to nastąpiła już pod tym względem znaczna poprawa w porównaniu z przeszłością.

P. Płk. Chłapowski nie podziela pesymistycznego poglądu P. Mackiewicza na kwestję liczebnego rozwoju Związku. Kategorja członków nadzwyczajnych jest pewnego rodzaju nowicjatem, po którego odbyciu — członkowie przejść mogą do kategorji członków zwyczajnych. Odpowiednie postanowienia statutu wprowadzone były na wypadek przymusu organizacyjnego, aby nie dawać odrazu pełnych praw osobom, które dotąd potrzeby dobrowolnego zrzeszenia nie zrozumiały.

P. Prezes Generał Sosnkowski wyjaśnił, że intencją autorów § 9 było niewątpliwie nie co innego, tylko zapewnienie pewnej selekcji członków zwyczajnych.

Wyjaśnienie to P. Mackiewicz przyjął do wiadomości, jako wyczerpujące tę kwestję.

Na pytanie P. Kamockiego, dlaczego w bilansie pozycja „różni dłużnicy" wzrosła w stosunku do roku ubiegłego o zł. 2.659,13, P. Red. Garczyński wyjaśnił, że bilans wykazuje stan na dzień 31 grudnia r. 1938, kiedy nie całkowicie jeszcze wpłynęły należności za bieżące ogłoszenia w „Łowcu Polskim" i za prenumeratę. Obecnie należności te zostały już pokryte.

P. Dr. Lardemer, nawiązując do sprawozdania Komisji Rewizyjnej, poparł końcowy jej wniosek o zatwierdzenie bilansu i rachunku strat i zysków oraz o udzielenie władzom Związku absolutorjum z czynności za rok 1938, ze swej zaś strony zgłosił wniosek o przyjęcie sprawozdania z działalności Naczelnej Rady Łowieckiej oraz o wyrażenie władzom Związku podziękowania za wydatną pracę i poniesione trudy.

Wnioski te Walne Zgromadzenie uchwaliło jednomyślnie.

Budżet na rok 1939 referował P. Kamieński. Wpływy Związku przewidziano w wysokości zł. 68.885.54, wydatki — zł. 66.343.21, spodziewana nadwyżka — zł. 2.542,33. Budżet wydawnictwa „Łowiec Polski" zamyka się sumą zł. 57.210.00 i przewiduje nadwyżkę zł. 4.000.—. Wpływy z „Kalendarza Myśliwskiego" przewidziano w sumie zł. 7.600.—, spodziewany zaś zysk wynosi zł. 750.—.

P. Prezes Generał Sosnkowski podał wyjaśnienia, dotyczące konstrukcji budżetu na rok bieżący. W budżecie tym więc

przewidziano likwidację kilku drobnych funduszów, które ze względu na swą nieżywotność — niepotrzebnie były przenoszone z roku na rok. Fundusze te Rada Naczelna projektuje skasować, a pozostające na ich rachunkach sumy — wydatkować, w sposób zgodny z intencjami utworzenia tych funduszów, na właściwe cele. Drugim ważnym szczegółem budżetu jest podwyższenie w roku bieżącym dotacyj dla Oddziałów do wysokości zł. 20.000.—, podczas gdy w roku ubiegłym wypłacone dotacje wynosiły zł. 12.540.— Poza dotacjami podkreślić należy różnego rodzaju świadczenia pośrednie, które kryją się w pozycjach budżetu „Łowca Polskiego" i w sumach, przewidzianych na strzelnicę myśliwską, z której może korzystać ogół członków. Wreszcie zainicjowano w budżecie pozycję „obrotowy kapitał wydawniczy" dla rozpoczęcia akcji wydawniczej w celu stworzenia odpowiedniej literatury łowieckiej w Polsce. Brak polskich dzieł łowieckich sprawił, że myśliwi w bibljotekach swych mania odpowiedniej literatury łowieckiej w Polsce. Brak polskich Dobra literatura łowiecka jest czynnikiem koniecznym, który może skutecznie podnieść kulturę życia łowieckiego w Polsce. W związku z tem pozostaje szczególnie ważny wniosek, z którym Rada Naczelna występuje na dzisiejszem Walnem Zgromadzeniu.

Wniosek, który referował P. Gen. Fabrycy, brzmi:

Fundusz Budowy Domu Łowieckiego, który stanowi obecnie sumę zł. 7.496,33, zostanie uruchomiony na akcję wydawniczą Związku pod warunkiem zagwarantowania przez budżet i kapitał rezerwowy Związku całości kapitału wraz z bieżącemi odsetkami oraz całości lub części zysku (w stosunku, określonym przez Radę Naczelną) na rzecz Funduszu. Nadto zaś dochody z organizowanych przez Związek imprez przeznaczone być winny na Fundusz Budowy Domu Łowieckiego i zapisywane na właściwy rachunek niezwłocznie po każdorazowem obliczeniu. Plan akcji wydawniczej zatwierdzony być ma przez Radę Naczelną. W planie tym należy przedewszystkiem uwzględnić tanie i popularne podręczniki.

P. Gen. Fabrycy zaznaczył, że wniosek ten oparty jest w pierwszym rzędzie na argumentach, jakie przytoczył już Pan Prezes, a z drugiej strony — na dążeniu Rady Naczelnej do zaktualizowania Funduszu Budowy Domu Łowieckiego. Fundusz ten od szeregu lat wykazuje bardzo niewielki wzrost, a podjęte początkowo metody gromadzenia kapitału nie dały pozytywnych wyników. Za 7.000.— zł. domu wybudować nie można. Chcąc zatem ruszyć z miejsca i zapewnić możność powiększenia Funduszu, by sprawa budowy własnej siedziby stała się w warunkach naszej pracy i oszczędności aktualną, Rada Naczelna postanowiła uruchomić tę kwotę na wzmocnienie kapitału wydawniczego i równocześnie posunąć naprzód sprawę stworzenia planowo pomyślanej literatury łowieckiej. Ruszając jednak pieniądze, złożone przez członków Związku na ściśle określony cel, nie można narażać Funduszu na ryzyko, wynikające z każdego takiego przedsięwzięcia; stąd też zastrzeżenie gwarancji budżetem Związku, względnie jego kapitałem rezerwowym. Motywowanie potrzeby własnej fachowej literatury łowieckiej — jest chyba zbędne. Nie mamy książki, którąby była podstawowym podręcznikiem dla każdego pokolenia myśliwych, które z konieczności uczyć się musi z podręczników niemieckich lub angielskich. Taką książkę wydać musimy przedewszystkiem.

Budżet na rok 1939 wraz z wnioskiem Rady Naczelnej w sprawie zaktywizowania Funduszu Budowy Domu Łowieckiego — Walne Zgromadzenie uchwaliło jednomyślnie.

Następnym punktem porządku dziennego były wybory uzupełniające do Naczelnej Rady Łowieckiej.

P. Prezes Generał Sosnkowski zakomunikował, że w myśl postanowienia § 27 statutu, na posiedzeniu Rady Naczelnej w dniu 14 maja r.b. dokonano losowania, w którego wyniku ustępują z Rady P.P. Wiceprezesi — Gen. Kazimierz Fabrycy, Maurycy Hr. Potocki i Inż. Leopold Skulski oraz Członkowie — Red. Walenty Garczyński, Prof. Józef Gieysztor i Inż. Henryk Sosonko. Nadto otworzyły się wakanse na stanowiskach Wiceprezesa — po ś.p. nieodżałowanym Bolesławie Świętorzeckim oraz Członka Rady — po P. Dr. Adamie Lardemerze, który — jako Prezes nowoutworzonego Oddziału Krakowskiego — wchodzi obecnie w skład Rady Naczelnej z urzędu. Walne Zgromadzenie winno zatem wybrać 4 Wiceprezesów i 4 Członków Rady.

Rada Naczelna, na wczorajszem posiedzeniu, postanowiła ze swej strony wysunąć kandydaturę wszystkich ustępujących, a nadto: na Wiceprezesa — Andrzeja Ks. Lubomirskiego, na Członka Rady — Prof. Dr. Bolesława Szareckiego.

Pan Prezes wezwał zebranych do zgłaszania dalszych kandydatur. Nowe nazwiska nie zostały zgłoszone.

Na wniosek P. Mackiewicza, Walne Zgromadzenie uchwaliło wyborów uzupełniających dokonać przez aklamację.

Wybrani zostali wszyscy kandydaci Rady Naczelnej.

Do Komisji Rewizyjnej Związku, w myśl wniosku P. Śliwińskiego, wybrani zostali ponownie na Członków — P.P. Inż. Antoni Fabjan, Dr. Ignacy Gryminski i Zbigniew Kowalski oraz na Zastępcę — P. Andrzej Gdowski, na drugiego Zastępcę (na miejsce po ś.p. Jerzym Ścigalskim) — P. Mieczysław Stypiński.

Po dokonaniu wyborów, przystąpiono do rozpatrzenia wniosków, które kolejno referował sekretarz, P. Bokiewicz.

W związku z ustaleniem programu akcji propagandowej Rada Naczelna wnosi, by Walne Zgromadzenie zobowiązało Wojewódzkie (Oddziałowe) Rady Łowieckie do wydawania stałych miesięcznych komunikatów dla wszystkich członków. Komunikaty, zawierające informacje i wskazówki organizacyjne, staną się niewątpliwie skutecznym środkiem utrzymywania stałego kontaktu z członkami i ściślejszego związania ich z organizacją. Wydawane komunikaty rozsyłane być winny również wszystkim innym Wojewódzkim (Oddziałowym) Radom Łowieckim do wzajemnej wiadomości.

Po dyskusji, w której wypowiedzieli się P. P. Madeyski, Red. Garczyński i Dr. Podgórny, wniosek Rady Naczelnej uchwalono z poprawką P. Madeyskiego, ustalając, że komunikaty wydawane być mają conajmniej raz na kwartał.

Zgodnie z przedłożonym przez Warszawską Wojewódzką Radę Łowiecką wnioskiem Rady Powiatowej w Mińsku Mazowieckim, Walne Zgromadzenie uchwaliło wystąpić do właściwych władz o wydanie zarządzenia, aby część grzywny, wymierzanej za przestępstwa łowieckie, przyznawana była—w formie nagrody — wykrywającym przestępstwa. Podjęcie odpowiednich starań zlecono Komitetowi Wykonawczemu.

Wielkopolska Wojewódzka Rada Łowiecka przedłożyła wniosek Walnego Zgromadzenia Powiatowego w Gnieźnie o przedstawienie właściwym władzom konieczności zaniechania sprzedaży z licytacji broni, konfiskowanej kłusownikom. Rada Naczelna stwierdziła, że dwukrotne już wystąpienia Związku w tej sprawie, w latach 1929 i 1936, pozostały bez echa. Obecnie celowe byłoby ponowne wystąpienie ze wskazaniem, że skonfiskowana broń myśliwska winna być niszczona i w postaci złomu oddawana na Fundusz Obrony Narodowej.

Wniosek ten uzasadniał P. Red. Garczyński, podkreślając niebezpieczeństwo sprzedaży konfiskowanej broni z licytacji, broń taka bowiem często wraca do rąk kłusowników i stanowi dalej narzędzie ich procederu. Ze sprzedaży z licytacji wpływ na rzecz Skarbu Państwa jest minimalny. Celowem i pożytecznem będzie oddawanie takiej broni, po jej zniszczeniu, na Fundusz Obrony Narodowej.

P. Laskowicz, popierając zasadę wniosku, zaznaczył, że nieraz wśród broni skonfiskowanej znajdują się cenne sztuki o wartości muzealnej, których niszczenie byłoby szkodą. Sprzedanie

takiej broni we właściwe ręce uchroniłoby ją od ponownego dostania się kłusownikom. Czasem trafia się i broń nowoczesna w dobrym zupełnie stanie, którą możnaby sprzedawać z licytacji osobom, uprawnionym do posiadania broni. Należałoby wyjednać zarządzenia, aby do kwalifikowania konfiskowanej broni — przed przeznaczeniem jej do zniszczenia, czy do sprzedaży, czy też do zbiorów muzealnych — powoływani byli wespół ze specjalistami rusznikarzami także Łowczowie Powiatowi.

Walne Zgromadzenie wniosek w ujęciu Rady Naczelnej uchwaliło, przyjmując również poprawkę P. Laskowicza. Złożenie właściwym władzom odpowiedniego memorjału zlecono Komitetowi Wykonawczemu.

Wielkopolska Wojewódzka Rada Łowiecka przedstawiła rezolucję Walnego Zgromadzenia Powiatowego w Mogilnie o podjęcie starań w Ministerstwie Sprawiedliwości, aby przestępstwa łowieckie sądzone były (na wzór spraw automobilowych) przez zespoły sędziów-myśliwych lub też przy udziale biegłych, powoływanych w porozumieniu z organami Związku.

Koreferent wniosku z ramienia Rady Naczelnej, P. Prok. Stetkiewicz, przewiduje w odniesieniu do pierwszej części wniosku znaczne trudności, gdyż wśród sędziów nie często znajdują się myśliwi. Jeśli natomiast chodzi o powoływanie rzeczoznawców, to miałoby to bardzo poważne znaczenie. Sędzia, nie znający zagadnień, związanych z łowiectwem, napewno chętnie korzystać będzie z opinji rzeczoznawcy i na niej oprze swój wyrok. Należałoby powołać przy sądach rzeczoznawców łowieckich z pośród myśliwych, wskazanych przez Oddziały Związku. Należałoby więc złożyć Ministerstwu Sprawiedliwości dezyderat, aby zleciło czynnikom, redagującym akty oskarżenia: prokuratorom w sądach okręgowych, a funkcjonarjuszom policji w sądach grodzkich powoływanie — w sprawach o przestępstwa łowieckie i w sprawach, związanych z wykonywaniem łowiectwa — rzeczoznawców w porozumieniu z Oddziałami Wojewódzkiemi Związku. Zdaniem P. Prok. Stetkiewicza, będzie to wystąpienie celowe i możliwe do zrealizowania.

P. Raszewski poparł i pierwszą część wniosku, podkreślając, że opinję rzeczoznawców łowieckich przyjmą w sposób należyty jedynie sędziowie-myśliwi.

P. Madeyski zaproponował rozszerzenie wniosku tak, aby rzeczoznawcy łowieccy powoływani byli nietylko w sprawach karnych, ale także i w sprawach cywilnych o odszkodowania.

P. Śliwiński poparł stanowisko P. Prok. Stetkiewicza, zaznaczając, że powoływanie biegłych w sprawach łowieckich niewątpliwie ułatwi i przyśpieszy procedurę ich załatwiania.

P. Dr. Lardemer nie widzi możliwości udziału biegłych w sprawach cywilnych, gdzie chodzi o sądzenie szkód łowieckich. Sprawy odwoławcze z art. 61 — 67 prawa łowieckiego wnoszone być mogą do sądu okręgowego jedynie dla sprawdzenia, czy forma postępowania, przewidziana w tych artykułach, została zachowana, czy też naruszona. Jest to postępowanie wyłącznie kasacyjne, a nie merytoryczne, i rzeczoznawcy nie mają tu nic do powiedzenia. W prawodawstwie naszem jest natomiast poważna luka, pomimo bowiem działania prawa łowieckiego już od 12 lat, nie zostało wydane rozporządzenie wykonawcze, dotyczące spraw z odwołania od orzeczeń sądów rozjemczych. Sądy okręgowe używają w tych wypadkach zazwyczaj procedury cywilnej. P. Dr. Lardemer uważa za konieczne wystąpienie do P. Ministra Sprawiedliwości z wnioskiem o wydanie rozporządzenia wykonawczego w zakresie rozpatrywania odwołań z art. 61 — 67 prawa łowieckiego. Sprawę tę P. Dr. Lardemer pozostawia Prezydjum Związku do decyzji, czy wniosek ten byłby na czasie.

P. Cenkier poparł wniosek P. Dr. Lardemera i wskazał na konieczność powoływania biegłych nietylko na rozprawy sądowe, ale także i w toku dochodzeń.

P. Red. Garczyński zaznaczył, że w sprawach cywilnych o wynagradzanie szkód łowieckich rzeczoznawcy winni być powoływani przez sądy rozjemcze. W projekcie noweli do prawa łowieckiego udział biegłych zapewniony jest także przy ustalaniu oceny szkód, wyrządzanych przez zwierzynę.

P. Sędzia Lossow, podzielając pogląd P. Prok. Stetkiewicza co do trudności zrealizowania wniosku w takiej formie, w jakiej został on zgłoszony, zaproponował, aby we wniosku tym spraw o przestępstwa łowieckie, jak i spraw łowieckich — poprosić p. Ministra Sprawiedliwości o zarządzenie, by sądzenie spraw o przestępstwa łowieckie, jak i spraw łowieckich — powierzane było w miarę możności sędziom - myśliwym, podobnie, jak to ma miejsce przy sprawach samochodowych.

P. Płk. Chłapowski podkreślił ważność tego wniosku, wyrażając przekonanie, że przyjęcie inicjatywy Związku przez P. Ministra Sprawiedliwości przyczyni się skutecznie do ukrócenia przestępstw łowieckich, a w szczególności kłusownictwa.

P. Skrzypek poparł projekt P. Madeyskiego rozszerzenie wniosku, dotyczącego powoływania biegłych, także na sprawy cywilne.

P. Inż. Burzyński również wypowiedział się za udziałem rzeczoznawców łowieckich zarówno w sprawach karnych, jak i cywilnych. Wskazanem byłoby nadto wydanie okólnika, zalecającego sądom stosowanie najwyższego wymiaru kar za przestępstwa łowieckie. W sądach grodzkich, jako oskarżyciele publiczni — występują funkcjonariusze policji państwowej, którzy powinni z reguły wnosić odwołania od łagodnych wyroków do sądu okręgowego. Należałoby zlecić wszystkim Oddziałom Związku nawiązanie ścisłego kontaktu z Prokuratorami Sądów Okręgowych.

Jako ostatni, głos zabrał koreferent wniosku, P. Prok. Stetkiewicz, podtrzymując swe uprzednie stanowisko.

Po zreasumowaniu dyskusji przez P. Prezesa Generała Sosnkowskiego, Walne Zgromadzenie uchwaliło:

Wystąpić do P. Ministra Sprawiedliwości z wnioskiem, aby dla sądzenia przestępstw łowieckich tworzone były — wedle możliwości i zależnie od warunków lokalnych — zespoły, złożone z sędziów-myśliwych, a nadto — aby utworzona została, w porozumieniu z Polskim Związkiem Łowieckim, instytutucja rzeczoznawców dla spraw karnych i cywilnych, związanych z łowiectwem, oraz by rzeczoznawcy ci powoływani byli zarówno w toku dochodzeń, jak i podczas rozpraw sądowych.

W myśl wniosku P. Dr. Lardemera, Walne Zgromadzenie uchwaliło wystąpienie do P. Ministra Sprawiedliwości z prośbą o wydanie rozporządzenia wykonawczego w zakresie odwołań z art. 61 — 67 prawa łowieckiego.

Opracowanie pism w obydwu tych sprawach powierzono Komisji, do której wybrani zostali P.P. Prok. Stetkiewicz, Red. Garczyński i Dr. Lardemer.

Zgodnie z wnioskiem P. Inż. Burzyńskiego, postanowiono zlecić Oddziałom Związku nawiązanie bezpośrednio lub przez Łowczych Powiatowych ścisłego kontaktu z P.P. Prokuratorami Sądów Okręgowych i przedstawienie im postulatów Związku w odniesieniu do walki z przestępstwami łowieckiemi.

Na propozycję Lubelskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej, Walne Zgromadzenie uchwaliło wystąpić do właściwych władz z wnioskiem, aby prawo wydawania kart łowieckich osobom, posiadającym pozwolenia na broń myśliwską, przekazane zostało organom Polskiego Związku Łowieckiego na takich zasadach, jak prawo wydawania pozwoleń na prowadzenie pojazdów mechanicznych przekazane zostało Automobilklubom Polskim.

P. Laskowicz zgłosił dezyderat, aby władze Związku wystąpiły również o powoływanie rzeczoznawców w sprawach karno-administracyjnych w zakresie przestępstw łowieckich. Formalny wniosek w tej sprawie wpłynie od Oddziału Wileńskiego.

Na propozycję P. Prezesa Generała Sosnkowskiego, sprawę tę przekazano do zbadania powołanej poprzednio Komisji.

P. Bokiewicz podał do wiadomości Walnego Zgromadzenia komunikat Rady Naczelnej w sprawie Muzeum Łowiectwa.

Dyrekcja Muzeum Przemysłu i Rolnictwa zawiadomiła Komitet Wykonawczy Związku, że sprawa organizacji Muzeum Łowiectwa znalazła już realną podstawę w postaci sali w gmachu głównym Muzeum Przemysłu i Rolnictwa w Warszawie, przy ul. Krakowskie Przedmieście Nr. 66, na I-em piętrze. Sala ta, po gruntownem odnowieniu, zostanie oddana na pomieszczenie zbiorów łowieckich. Nastąpi to jesienią rb. i od tego czasu rozpoczęta będzie systematyczna praca nad organizacją Muzeum Łowiectwa.

Muzeum Łowiectwa pomyślane jest jako jednostka autonomiczna przy Muzeum Przemysłu i Rolnictwa i prowadzone będzie, w myśl opracowanego już w roku ubiegłym statutu, przez Polski Związek Łowiecki i Muzeum Przemysłu i Rolnictwa.

Do jesieni rb. w magazynach Muzeum Przemysłu i Rolnictwa gromadzone są i przechowywane w porozumieniu z Polskim Związkiem Łowieckim cenne okazy i eksponaty z tego działu.

Niezależnie od tego, Muzeum Przemysłu i Rolnictwa wyraziło gotowość zapewnienia w swych pomieszczeniach już obecnie przechowywania czasowego cenniejszych okazów i trofeów myśliwskich poszczególnych właścicieli po każdorazowem porozumieniu z Polskim Związku Łowieckim.

W uzupełnieniu tego komunikatu, P. Inż. Knothe wyjaśnił, iż pewna zwłoka, jaka w organizacji Muzeum Łowiectwa nastąpiła, spowodowana była trudnościami lokalowemi. Obecnie trudności te są już pokonane i projekt rychło doczeka się realizacji. P. Inż. Knothe zwrócił się do zebranych z apelem o rozpoczęcie akcji, zmierzającej do powiększenia zbiorów, przeznaczonych dla Muzeum Łowiectwa.

P. Madeyski, w imieniu Wołyńskiej Wojewódzkiej Rady Łowieckiej zaprosił wszystkich zebranych na regjonalną wystawę łowiecką, organizowaną w roku bieżącym w Równem, w czasie targów wschodnich. W najbliższych tygodniach rozesłane zostaną zaproszenia do wszystkich Oddziałów.

P. Kamocki zgłosił prośbę, aby obrady Walnego Zgromadzenia rozpoczynały się w przyszłości później, niż o 10-ej.

Wobec wyczerpania porządku dziennego, P. Prezes Generał Sosnkowski obrady zamknął, dziękując zebranym za liczny udział w Zgromadzeniu i życząc pomyślnych wyników w dalszej pracy w terenie.

Prezes Związku
(—) KAZIMIERZ SOSNKOWSKI

Sekretarze
(—) Inż. HENRYK SOSONKO,
(—) JERZY BOKIEWICZ

OŚRODKI ZBIÓRKI ZŁOMU MYŚLIWSKIEGO NA F. O. N. W WARSZAWIE

Powtarzamy — dla łaskawego użytku myśliwych zamieszkałych w Warszawie — ośrodki zbiórki złomu myśliwskiego na F. O. N., z dodaniem opuszczonego w pierwszem ogłoszeniu jeszcze szóstego punktu.

1) *„Łowiec", Widok 12.*
2) *Zakł. Amunicyjne „Pocisk", Trębacka 10.*
3) *J. Sosnowski — Krak. Przedm. 7.*
4) *R. Strabużyński — Królewska 31.*
5) *R. Torchalski — Trębacka 7.*
6) *Warszawska Spółka Myśliwska, — Królewska 17.*

TREŚĆ NUMERU:

Redaktor: Walenty Garczyński. Wydawca: Polski Związek Łowiecki. Sekretarz Redakcji: Wł. Zabiełło.

ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON REDAKCJI I ADMINISTRACJI 6-66-29. KONTO P. K. O. 8082.

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka Warszawa